

Radosław Lucjan Selke

**GONIĄC
MARZENIA**

Wydawnictwo WSKFiT
Pruszków, 2019

© Copyright by Radosław Lucjan Selke

Projekt okładki – Justyna Selke

Ilustracje - Marcin Basis

Korekta - Małgorzata Roszkowska-Kazała

ISBN 978-83-63163-37-2

Wydawca:

Wydawnictwo Naukowe WSKFiT

05-800 Pruszków

Tel. (22) 759 55 28

www.wskfit.pl

„Dla moich synów...”

Autor

Wstęp



Zapewne każdy z nas zna kogoś, kto oddaje się pasji biegania. Pasji właśnie – gdyż ta niezwykła w swej prostocie aktywność dla wielu stała się sposobem na życie, drogą do kształtowania własnego charakteru, poznawania siebie czy odnajdywania harmonii ze światem. Miliony ludzi codziennie przemierzają krótsze lub dłuższe dystanse, z każdym krokiem stając się bliżsi celowi, jaki każdemu indywidualnie przyświeca. Jedno jest pewne: bieganie stało się nieobojętną i jedną z najzdrowszych form uzależnienia, o czym można przekonać się śledząc współczesne środki przekazu. To już nie tylko sport, to swoisty narkotyk dający radość, satysfakcję, poczucie spełnienia, szczęście.

Istnieje wszakże druga strona, nie zawsze łatwa. Historia tysięcy biegaczy to również opowieść o porażkach, niedomaganiach, czasem upadkach, z których nie dane było się podnieść. Są to – na szczęście – pojedyncze karty zapisanej złotymi zgłoskami wielkiej księgi lekkoatletyki, pełnej cudownych opowieści o walce ze słabościami, która przynosi owoce słodkie i dorodne. Kontuzje, niepowodzenia, okresy

słabości – to krótkie momenty w karierze, które z jednej strony odsłaniają piękno wszystkich pozostałych godzin i lat spędzanych na trasie, z drugiej zaś – stanowią przestrożę, że nawet chwila potrafi czasem wpłynąć na całe życie nie tylko amatorów, ale i zawodowców.

Legendarny czechosłowacki biegacz Emil Zatopek powiedział kiedyś: „Jeśli chcesz biegać – przebiegnij kilometr, jeśli chcesz zmienić swoje życie – przebiegnij maraton”. Ta przepiękna myśl oddaje istotę czegoś, czym dla rzeszy biegaczy jest samotność długodystansowca. Po przekroczeniu linii mety królewskiej trasy, pękają także wewnętrzne bariery. Jedni czują się, jakby doświadczyli lotu w kosmos, inni – jakby byli w stanie udźwignąć na swoich barkach cały świat, niczym mityczny Atlas. Przemierzanie długich dystansów to podróż wszerej świata, horyzontalna wędrówka przez drogi, bezdroża, góry i doliny. Ale to także wspaniała wyprawa w głąb siebie – swojej psychiki, pragnień, emocji, wspomnień. Wiem, co mówię, bo sam wylewałem hektolitry potu, nierzadko też krwi, na treningach i zawodach. Mam za sobą ponad trzydzieści maratonów, a wciąż czuję pragnienie pokonywania

kolejnych. Dlatego, że bieganie to mój sposób na życie, którym pragnę dzielić się z innymi, tak jak sam zachłannie pochłaniałem każdą opowieść od tych, którzy byli i są dla mnie największymi autorytetami w tej dziedzinie.

Opowiem ci, drogi czytelniku, historię czwórki wspaniałych ludzi, których miałem zaszczyt poznać. To niezwykła opowieść o niezwykłych ludziach, którzy pokonali nie tylko dystans mierzony trasą, ale także ten trudniejszy, osobisty, jaki stworzyło im życie. Każdy z tych chłopaków, dziś już poważnych mężczyzn, zmagali się z niedomaganiem, które wielu innych ludzi złamałoby jakąkolwiek chęć do życia. Wielki ciężar, jaki nieśli, stał się ich największym wyzwaniem, a zarazem amuletem, który wytyczał kierunek do celu. Tak już bowiem jest, że pasja często łączy się z cierpieniem, którego trwałość zależy tak naprawdę od nas – a nie okoliczności zewnętrznych. Doświadczenia moich bohaterów wskazują na wspólnotę przeżyć – tego, że niezależnie od warunków, czasów, miejsca jako ludzie zmagamy się z tymi samymi problemami. Życiorysy postaci są jak lustro, w którym każdy może się przejrzeć. Ja się przejrzałem i wiem, co

tam zobaczyłem. Uznałem, że to ważne, więc przekazuję to lustro dalej z nadzieją, że trafi w życzliwe ręce.

Autor

Marcin



Pasja życia i sportu

Pierwszy z moich bohaterów urodził się nieopodal stolicy naszego pięknego kraju. Przyszedł na świat w podwarszawskiej miejscowości, która zasłynęła w świecie jako miejsce leczenia chorób i schorzeń płuc. Marcin urodził się na początku lat sześćdziesiątych XX. wieku. Był synem maszynisty oraz pielęgniarki. Wychowywał się w tradycyjnym polskim domu tamtych czasów. Ten przyszły długodystansowiec był jednym z pięciorga rodzeństwa. Od dziecka pasjonowała go muzyka oraz rywalizacja sportowa.

W latach siedemdziesiątych, jak większość jego rówieśników w tamtych czasach, zafascynował się big bitem. Wówczas w polskim radiu królowały Czerwone Gitary, Czesław Niemen oraz inni przedstawiciele gatunku. Sam zainteresowany próbował naśladować swoich muzycznych idoli stając przed lustrem. Pełen energii i optymizmu jak każdy dorastający chłopak. W szkole, do której prowadziła go babcia, poznał grupę kolegów, z którymi zafascynował się futbolem. Wraz z nimi zapisał się na treningi piłki

nożnej do sekcji juniorów drugoligowej miejscowej drużyny. Najbardziej lubił pozycję defensywnego pomocnika.

Uwielbiał biegać i przeszkadzać przeciwnikowi. W grze i w życiu cechowała go nadaktywność. Przełożyło się to na grunt sportu w szkole, gdzie miejscowy nauczyciel wychowania fizycznego namówił go na starty w biegach przełajowych. Od pierwszych treningów podchodził do nich z niebywałym optymizmem. W drugim roku rywalizacji na torach biegowych zdobył tytuł wicemistrza szkoły w biegu przełajowym na 3000 metrów. Było to uznane za duży sukces, ponieważ był najmłodszym uczniem ze stawki uczestników. Jak sam wspomina, trudno mu się wówczas biegało, bo buty, w których biegał, nie były tak naprawdę przeznaczone do biegania. Były to szmaciane trampki, przez które wielokrotnie nabawił się wielkich odcisków na palcach obu stóp. W tych samych butach grał również na boiskach miejscowego klubu, kiedy to wraz ze swoim rocznikiem juniorów doszedł do finału juniorskich okręgowych rozgrywek ligowych. W pamiętnym meczu przeciwko drużynie Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Łodzi

zdobył bramkę na 2:2. Był to gol w stylu Kazimierza Deyny z meczu reprezentacji Polski przeciwko Włochom (2:1) z 23.06.1974 podczas Mistrzostw Świata w Niemczech. Kiedy to niczym ów wielki piłkarz ubiegł rywala i strzałem z pierwszej piłki tuż przy słupku zdobył bramkę wyrównującą.

W jego życiu wszystko wydawało się przebiegać znakomicie i wzorcowo. Kiedy kończył szkołę podstawową i zastanawiał się na swoją przyszłość, rozmyślał o dalszej edukacji. Wahał się między ogólniakiem a technikum samochodowym. Obserwując chwiejną sytuację polityczno-ekonomiczną, postanowił pójść do technikum, by po maturze mieć zawód oraz otwarte możliwości dalszego kształcenia w uczelniach wyższych. W jego życiu wciąż dużą rolę odgrywał sport oraz muzyka. W dalszym ciągu biegał na dystansach do 3000 metrów oraz grał w piłkę w miejscowej drużynie. Pomimo młodego wieku udało mu się zaliczyć kilka występów w rezerwie miejscowej drużyny, w której juniorach i młodzikach występował już kilka lat. Okres dorastania młodego człowieka to wiek pełen rozterek i skoków emocjonalnych. Jest

to czas zmian hormonalnych oraz permanentnego szukania złotego środka. Młody człowiek próbuje wielu rzeczy. Marcin wraz ze znajomymi zbierał plakaty swoich idoli. Sportowymi idolami byli Kazimierz Deyna i kadra polska Kazimierza Górskiego. Oprócz ich plakatów Marcin wycinał też z gazet zdjęcia Czerwonych Gitar i Czesława Niemena. Oprócz sportu wciąż fascynowała go muzyka. Wraz z przyjaciółmi wpadli nawet na pomysł, by nauczyć się grać na gitarach jak ich idole – Seweryn Krajewski, Krzysztof Klenczon, Jerzy Skrzypczak. Wielokrotnie mogli to potem wykorzystać w przełamaniu wrodzonej nieśmiałości w stosunku do dziewczyn. Wraz z kolegami grali koncerty dla swoich szkolnych miłości podczas wielu szkolnych dyskotek.

Był przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Podczas jednej ze szkolnych wycieczek Marcin zakochał się w górach. Młodzież nie miała wtedy alternatywy w postaci mediów społecznościowych, dlatego kiedy wyjeżdżano na wycieczki wraz z nauczycielem wychowania fizycznego, nie spędzano czasu na próżno. Wycieczki, zabawy w podchody po górskich szlakach i całodniowe aktywne spędzanie

czasu – to było na porządku dziennym. Marcin uwielbiał biegać na górskich szlakach. Wówczas jego trener i zarazem nauczyciel w-f stawiał go za wzór jako przykład rzetelnej pracy. A były to czasy, kiedy to praca liczyła się przede wszystkim. Nie inaczej jest i było w sporcie.

Historia pewnego wypadku

Niestety, dobrze zapowiadającą się karierę sportową, a przede wszystkim rozwój młodego człowieka, zaburzył tragiczny w skutkach wypadek kolejowy. Podczas powrotu z treningu biegowego w miejscowych lasach mój bohater nieopatrznie dostał się pod pociąg zmierzający do stolicy. Wypadek zdarzył się, gdy miał zaledwie 19 lat. Wchodził wówczas w wiek wczesnej dorosłości. W tym wieku młoda osoba dokonuje najważniejszych wyborów życiowych – obierając ścieżkę zawodową, tworząc i zakładając rodzinę oraz ciągle się rozwijając. W nieszczęśliwym wypadku młody Marcin ucierpiał w znacznym stopniu. Lekarze z wielkim wysiłkiem walczyli o jego życie. Przez długi czas leżał podtrzymywany

w śpiączce farmakologicznej. Stan ten doprowadził do osłabienia zdrowia jego bliskich – jego ukochany dziadek przeszedł atak serca na wiadomość o tym wypadku. Kiedy wydawało się, że nie da się mojego pierwszego bohatera wybudzić ze śpiączki, ten niespodziewanie wybudził się.

Po wybudzeniu okazało się, że pomimo śpiączki i braku ruchu tkanka mózgowa nie została uszkodzona. Stan ten nie doprowadził do afazji ani żadnych neurologicznych zaburzeń. Ogromny plus w nieszczęściu młodego człowieka. Jednak po wybudzeniu okazało się też, że w wypadku Marcin stracił obie łydki. Dla pełnego energii młodego człowieka był to ogromny cios. Chciał grać w piłkę jak jego ukochany Deyna oraz przecinać linię mety z uniesionymi rękami jak biegacze na Igrzyskach Olimpijskich. Niestety, oba te marzenia legły w gruzach z powodu wypadku, który wydarzył się, gdy wracał z treningu.

Początkowo odrzucał ten fakt i zaprzeczał rzeczywistości. Po wypadku mój bohater długo nie mógł pogodzić się ze stanem rzeczy. Długo nie wychodził z domu. Nie pomagały nawet namowy ówczesnej sympatii, mój bohater szukał ukojenia

w samotności. Często zamykał się w sobie, w swoich czterech ścianach, rezygnując z rehabilitacji. Niestety, w latach osiemdziesiątych, kiedy rzecz miała miejsce, medycyna w Polsce nie była aż tak rozwinięta; jedyne co mu zaoferowano, to wózek inwalidzki, który nowością nie grzeszył. Kiedy się na nim przemieszczał, słychać było skrzyp i szmer, jakby miał się zaraz rozpaść. Stan wózka dodatkowo dołował mego bohatera. Kilka miesięcy po wypadku Marcinowi w podniesieniu morale nie pomagała ukochana muzyka, ani dobre mecze jego miejscowej drużyny piłkarskiej. Natomiast pod wpływem złego nastroju rozstał się ze swoją dziewczyną. Codzienny obniżony nastrój przyczynił się do pogłębienia samotności. Samotność potęgował bimbrem, który jego dziadek sporządzał w przydomowej piwnicy. Marcin coraz częściej zaglądał do kieliszka – w ten sposób topiąc smutki i żale, wspominając czasy kiedy mógł marzyć o karierze sportowej. Teraz, niestety, brak łydek sprawił, że nie mógł stawać na starcie biegów przełajowych, które tak bardzo go fascynowały. Mojemu bohaterowi z pomocą wielokrotnie przychodził trener i wuefista

z czasów licealnych, ale Marcin odrzucał starania nauczyciela wychowania fizycznego.

Mój bohater odrzucił wiele prób pomocy. Pewnego dnia na łamach Przeglądu Sportowego przeczytał relację z Letnich Igrzysk Paraolimpijskich w Seulu w 1988 roku, gdzie polscy paraolimpijczycy zdobyli łącznie 23 medale, a wśród polskich sportowców brylował Jerzy Szlęzak. Wówczas mój bohater spojrzął w lustro – zobaczył młodą twarz, spojrzął na tors, ten wciąż był umięśniony jak za czasów, gdy biegał po lasach i łąkach. Po czym powiedział sobie, że jest za młody by tak łatwo poddać się bez walki. On również wciąż ma marzenia i chce walczyć o swoje, a przede wszystkim chce żyć pełnią życia i cieszyć się nim. To była przełomowa chwila. Nazajutrz wyrzucił z domu wszystkie rzeczy związane z umartwianiem się nad sobą. I przede wszystkim postanowił nie pić więcej alkoholu. Z piwnicy wyjął swoje stare ciężarki z ławeczką do dźwigania. Owszem, nie miał jeszcze wówczas dobrego wózka, by się przemieszczać, ale mimo to postanowił walczyć z własnymi słabościami, własną frustracją i otaczającym go chaosem. Miał jedno życie, które kochał i nie zamierzał go

zmarnować, umartwiając się nad sobą i swoim losem. Kolejny swój krok skierował do swojego starego wuefisty. Ten trener z przeszło 20-letnim doświadczeniem postanowił mu pomóc. Wśród ludzi związanych ze sportem zorganizował wózek sportowy. Owszem, nie najłżejszy, nie najlepszej jakości, ale pozwalał on na spokojne przemieszczanie się na długich odcinkach. Jednak, by spokojnie móc kręcić kołami, mój bohater musiał wciąż wzmacniać mięśnie torsu. W domowych zakamarkach wykonywał coraz to mocniejsze i zróżnicowane ćwiczenia. W tym czasie powrócił do aktywnej rehabilitacji, którą porzucił przed kilkunastoma miesiącami. Od przeczytania wspomnianego artykułu zaczął aktywnie żyć. Wiedział jednak, że pomimo pogodzenia się ze swoim losem i ogromną chęcią walki z nim, musi mieć ze sobą bliskich. Ludzkie nastroje i samopoczucie są efektem sinusoidalnym, toteż dobrze mieć w gorszych chwilach osoby, na które można liczyć. Tuż po wypadku mój bohater zranił kochającą go osobę. Jego sympatia została odtrącona i trzy lata po tym wydarzeniu tworzyła już związek z kimś innym, będąc bardzo szczęśliwą młodą mężatką. Dowiedział się o tym

w pewien wrześniowy poranek w drodze do kościoła. Spotkał wówczas “swoją słodką Polę Raknę”, jak miał w zwyczaju o niej mówić. Korzystając z tej okazji, porozmawiali trochę. W pierwszej chwili Marcin zwyczajnie i szczerze ją przeprosił. W czasie tego spotkania zauważył na jej palcu obrączkę. Na pytanie “Jak u Ciebie?” odpowiedziała: “Tak jak widzisz, trochę się zmieniło”. Marcin posmutniał. Tak naprawdę kochał ją bardzo mocno, a tylko chwilowe załamanie sprawiło, że odtrącił od siebie najbliższe osoby. Teraz postanowił jednak, że będzie inaczej. Bardzo chciał zjednoczyć się z ludźmi.

Kiedy w pewien listopadowy poranek trenował w swojej piwnicy, przyszedł do niego jego szkolny wuefista. Zaproponował mu, by się szybko ubrał i pojechał z nim do Warszawy. Marcin posłuchał swojego mentora i pojechał z nim w nieznaną. W stolicy działał klub sportowy dla osób niepełnosprawnych. Skupiał on niepełnosprawnych wokół szermierki, podnoszenia ciężarów oraz koszykówki. Marcin, który w dzieciństwie i w okresie dorastania był duszą towarzystwa, obecnie był dosyć apatyczny.

Niestety ten aspekt jego życia trochę osłabił w wyniku wypadku. Było to naturalnym łańcuchem wydarzeń po etapie żałoby, którą mój bohater mocno przeżywał. Żył trochę w osamotnieniu. Naprzeciw temu wyszedł jego stary wuefista. Chciał w ten sposób pokazać mu, że nie jest sam i są ludzie również mocno dotknięci przez los, którzy potrafią cieszyć się życiem i pasją sportu. Pierwszy kontakt nie wypalił. Z pierwszych zajęć Marcin wyszedł bardzo szybko. Przestraszył się tak dużej liczby osób niepełnosprawnych. Sytuacja go przytłoczyła. Jak sam przyznał – jako człowiek bał się ich spojrzeń, a jako sportowiec bał się być gorszy od innych. Kiedy szybko opuścił halę sportową, jego trener wybiegł za nim. Spojrzał na jego przestraszoną twarz i mocno go objął, mówiąc: “Dzisiaj nie sprostalesz zadaniu. Poddalesz się, ale w sporcie tak bywa, nie każdą walkę można wygrać. Ważne, by porażkę dobrze przetrwać i podnieść się, by walczyć dalej. Ale wierzę w ciebie i wiem, że się podniesiesz ...” Do domów wracali w milczeniu, w tle grała radiowa Trójka, gdzie puszczano “Uśmiech śmierci” zespołu Dżem. Tekst tej piosenki zapadł mojemu bohaterowi w pamięć

“Jestem teraz, teraz sam, ucichł wokół szum i gwar, wszyscy ze swoimi lub do swoich poszli żon, kto pomoże, teraz kto, znaleźć mi w tej ciszy twarz...” – przy tych znamiennych słowach mój bohater wracał do domu.

Nazajutrz o poranku wyczekiwał w radiowej Trójce swojej nowej ulubionej piosenki. Kiedy około południa na swoim kaseciaku wcisnął przycisk do nagrywania, ktoś zapukał do drzwi. Spokojny o to, że utwór nagra się na kasetę, zmierzał ku drzwiom. Przed progiem zobaczył trenera, który rzekł do niego: “Szykuj się, ubieraj, czekam na ciebie ...”. Pomimo wczorajszego niepowodzenia postanowił znowu pojechać ze swoim sportowym mentorem. Była sobota przypadająca na zawody osób niepełnosprawnych w szermierce. Zawody były rozgrywane na terenie Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Mój bohater ujrzał czystą rywalizację sportową osób jeszcze bardziej dotkniętych przez los niż on sam. Spędził tam cały dzień, od rana do wieczora. Mógł cieszyć się pięknem sportu. Nie było tam mowy o byciu gorszym od kogoś, nie było mowy o niedomaganiu, każdy był sobie równy. Każdy walczył o swoje. O upragnioną nagrodę, jaką był

Złoty Puchar z napisem “Ból przemija, a duma trwa wiecznie ...”. Mój bohater mógł w ten sposób poznać środowisko.

Jeden z zawodników, który wygrał turniej szpady, zaprosił go we wtorek do siebie na trening. Powiedział, że pokaże mu ten sport i szczerze go zachęcał. Nowo poznany znajomy podobnie jak mój bohater nie miał łydek. Stracił je w wypadku samochodowym. Zwycięzca szpady bez ogródek o tym mówił. Mój bohater jeszcze się trochę krępował, jakby nie do końca był pogodzony z losem, jednak obiecał przyjechać na wtorkowy trening. W drodze powrotnej Marcin bardzo podziękował swojemu trenerowi za obecność. Oboje umówili się na wtorkowy poranek i podróż do Warszawy na trening szermierczy.

Po powrocie do domu zorientował się, że zużył całą kasetę magnetofonową na nagranie utworu Dżemu. Wychodząc rano z trenerem, nie wyłączył funkcji nagrywania, kiedy się utwór skończył. Postanowił odsłuchać wszystkie te piosenki, przy okazji ćwicząc w swojej małej siłowni. Wśród rodzyneków, które się trafiły, był znamienny utwór Kultu – “Arahja”. Zaczął się zastanawiać, czy tak samo on nie jest podzielony.

Z jednej strony bał się kolejnych kroków w nieznaną. Z drugiej strony bardzo chciał podążać nową dla siebie drogą.

Z obawą, z lękiem, ale też z ciekawością zmierzał na wtorkowy trening szermierczy. Na miejscu muskularny zwycięzca szpady z turnieju o Złoty Puchar przedstawił mu pozostałych zawodników oraz kazał włożyć jeden ze strojów szermierczych. Początkowo mój bohater się krępował, ale jego nowy znajomy szybko przełamał jego niemoc, szeroko się uśmiechając. Po przymiarce stroju i ulokowaniu wózków w podeście zaczęli uczyć się chwytów szermierczych. Trening trwał kilka godzin. Na koniec Marcin dostał strój na własność i zaproponowano mu zapisanie się do klubu. Bez zastanowienia to zrobił. “Od czegoś trzeba zacząć” – jak sam powiedział.

Kolejne pół roku spędził na wtopieniu się w środowisko osób niepełnosprawnych. Był w tych kręgach nową osobą, ale nikt nigdy mu nie pozwolił tego odczuć. Na treningach szermierczych wielokrotnie wylewał siódme poty oraz walczył w sparingach, często przegrywając je z kretesem. Jednak wiedział, że chce iść drogą

sportu, bez którego nie byłby po prostu sobą, a myśli o skończeniu swojego żywota mogłyby się uaktywnić. Znał siebie bardzo dobrze i wiedział, że nie jest tchórzem, który podda się raz. On wolał przegrać setki razy po dobrych walkach na podeście szermierczym, a nie w życiu. Chciał, by kiedyś to o nim napisano w Przeglądzie Sportowym jako o reprezentancie Polski na Igrzyska Paraolimpijskie. Mój bohater swoje pierwsze zawody wygrał po około 5 latach od momentu, gdy pojechał na pierwszy trening szermierczy. Wówczas były to zawody o Złoty Puchar z napisem, który zapamiętał już dawno: “Ból przemija, a duma trwa wiecznie ...”.

Czas spełnienia - czasem nowych wyzwań

W tym czasie mój bohater postanowił dokończyć naukę w technikum, którą przerwał jego pechowy wypadek. Zdobył zawód i zdał z wyróżnieniem maturę. Od zawsze w życiu oraz w sporcie cechowało go samozaparcie. Postanowił pójść za ciosem i za namową wielu znajomych poszedł na studia. Obecnie jest inżynierem mechanikiem w dużym koncernie przemysłowym. Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Polska przechodziła przeobrażenie, mój bohater szalenie się zakochał w jednej z zawodniczek szermierki. W pewien majowy dzień powiedziała “tak” i dzięki temu mogli zrobić duże wesele dla siebie i bliskich. Postanowili razem założyć rodzinę. Trzy lata po ślubie na świat przyszła córka, którą wraz z żoną nazwali Pola, od wspomnianej już Poli Raksy. Życiowo, rodzinnie, zawodowo i sportowo Marcin odczuwał spełnienie.

Mimo radości z życia pamiętał wciąż o tym, że w młodości biegał. Na początku nowego tysiąclecia w Polsce wzrastała ilość biegów ulicznych. Postanowił więc spróbować i za namową swoich

bliskich wystartował w biegu ulicznym, w którym dopuszczano osoby na wózkach.

Pierwsze zawody ukończył z bólem ramion i rąk. Miał niedostosowany wózek – zbyt ciężki i niewygodny do przemierzania długich dystansów. Z rozmarzeniem spoglądał na osoby pokonujące trasę tego samego biegu w czasie o połowę krótszym niż on. Jednak tak samo jak blisko 20 lat wcześniej na pierwszym treningu szermierczym, powiedział sobie, że od czegoś trzeba zacząć.

Igrzyska spełnieniem marzeń

Na kolejny wyścig Marcin zapisał się dwa miesiące później. Wówczas uzgodnił z organizatorami, że będzie startował ze strefy początkowej przeznaczonej dla wózków. Na drugie w swoim nowym życiu zawody biegowe załatwił sobie lżejszy i przeznaczony do długiej jazdy wózek sportowy. Było po stokroć lżej od pierwszego wyścigu. Ramiona nie odczuły tego wysiłku tak bardzo jak za pierwszym razem. Obyło się bez kontuzji, a relatywnie dobry czas uzyskany na tych zawodach wywołał ogromny

uśmiech na ustach. Przez kilka następnych lat mocno trenował na siłowni, uprawiał szermierkę i działał w temacie, by załatwić sobie *handbike*. Jest to wysokospecjalistyczny wózek (rower) sportowy z napędem na ręce. Po wielu miesiącach starań i przekonywania sponsorów dostał swój wymarzony rower trzykołowy. Od kilku lat trenuje, jeździ na zgrupowania kadry polskich sportowców. Startuje w wielu biegach ulicznych w Polsce i za granicą. Często wygrywa.

W swojej gablocie z medalami ma złote krążki w kolarstwie osób niepełnosprawnych. Na każdym tych zawodach musiał walczyć o swoje, walczyć z samym sobą, ale również z mocnymi przeciwnikami. Obecnie pracuje w pocie czoła, by przygotować się do startu w Mistrzostwach Paraolimpijskich sportów oraz w letnich Igrzyskach Paraolimpijskich w wyścigu *handbike*'ów, bo nic nie daje tyle pokory, co walka z samym sobą podczas pokonywania długiego dystansu. Mój pierwszy bohater przebył bardzo długi dystans, a wraz z nim duże przeobrażenie.

Kornel



Urodzony sportowiec

Kolejny bohater mojej opowieści przyszedł na świat w latach sześćdziesiątych XX. wieku w Katowicach. W odróżnieniu od Marcina – pierwszego bohatera – przyszedł na świat w usportowionej rodzinie. Rodzice nazwali go po dziadku, górniku pobliskiej kopalni – Kornel. Jego mama była lekkoatletką, której koronną konkurencją był bieg na 100 metrów. W czasach studenckich zajęła 2. miejsce w mistrzostwach Polski studentów w lekkiej atletyce rozgrywanych na terenach AWF w Warszawie. Jej karierę dosyć niespodziewanie przerwała ciąża, której owocem był mały Kornel. Po porodzie mama mojego bohatera nie powróciła już do tak czynnego uprawiania sportu. Z kolei tata Kornela był piłkarzem bytomskiej Polonii. Balansował w niej na pograniczu pierwszego i drugiego składu. W mistrzowskim sezonie (1962 r.), kiedy bytomski klub sięgnął po mistrzostwo Polski, zaliczył on dwa spotkania w pierwszej lidze.

Mały Kornel mieszkał wraz z rodzicami w bloku, dwie przecznice od ulicy Olimpijskiej, przy której znajduje się stadion tamtejszej Polonii im.

Edwarda Szymkowiaka. Mały chłopiec zapatrzony w swoich rodziców często towarzyszył ojcu, gdy ten wylewał siódme poty na treningach piłkarskich. Równie często co z ojcem, Kornel spędzał czas ze swoją mamą, która często biegła treningowo w pobliskim parku. O ile obserwując ojca, robił to z boiska bocznego, o tyle kiedy trenowała mama, towarzyszył jej jeżdżąc rowerem. W ten oto sposób mały chłopiec chłonał sport pełną piersią. Nic też dziwnego, że w wieku pięciu lat za namową ojca poszedł na pierwszy trening do drużyny juniorów Polonii Bytom. Treningi miał cztery razy w tygodniu, a oprócz tego wciąż trzy razy w tygodniu jeździł rowerem.

Jako pięciolatek, ten niebieskooki blondyn był wysoki. Swoich kolegów z podwórka przewyższał o głowę. W przeciwieństwie do wielu z nich był bardzo poukładany. Kiedy babcia zaproponowała mu czekoladę albo lody, ten wielokrotnie odmawiał mówiąc: "Nie mogę babciu, bo mam trening, a chcę zostać dobrym sportowcem ..."

Lekkoatletyka królową sportu

W wieku 7 lat Kornel wraz z mamą i tatą pojechał któregoś dnia do Katowic na zawody lekkoatletyczne absolwentów AWF. Mama startowała w biegach na 100 metrów, zaś ojciec wybrał konkurencję biegu ulicznego na 5 km. O ile ojcu Kornela bieg szczególnie nie wyszedł, o tyle mamie poszedł bardzo dobrze. Mama małego chłopca wygrała swoją konkurencję, uzyskując przewagę blisko 2 sekund nad drugą rywalką. Tego dnia mój mały bohater był zapatrzonny w sylwetki sportowców oraz zafascynowany rywalizacją sportową. Bardzo podobała mu się również atmosfera imprezy. Wiwatujące tłumy, cieszące się dzieci, atmosfera istic piknikowa. Zgoła inaczej, niż było na kilku meczach piłki nożnej, kiedy Polonia Bytom walczyła z klubami, których kibice nie darzyli się sympatią.

Kiedy wieczorem po imprezie lekkoatletycznej całą rodziną wracali do domu swoją kremową syreną, samochód odmówił posłuszeństwa. Po prostu stanął. Usilne próby naprawy przez ojca spełzły na niczym. Było to około dwóch kilometrów od domu. Naładowani

pozytywną energią wynikającą z obecności na mityngu lekkoatletycznym, postanowili się przebiec do domu. Kiedy dobiegli do domu, syn absolwentów katowickiej AWF nie chciał przestać biegać. Mama Kornela zaproponowała, by odstawić plecak do mieszkania, po czym poszli pobiegać do parku, po którym zazwyczaj biegała. Po powrocie do domu syn i mama byli bardzo szczęśliwi. Po kolacji i kąpieli, kiedy mama pod nieobecność ojca, który poszedł ze swoim bratem mieszkającym obok sprowadzić zepsuty samochód, usypiała syna, czytając mu bajkę na dobranoc, ten przerwał jej i rzekł: “Mama, nie mów tacie, ale ja nie będę piłkarzem, będę biegaczem ...”. Kiedy mama małego chłopca usłyszała te słowa, była bardzo dumna, a w oku zakręciła jej się łza, bo gdzieś tam głęboko myślała o swojej dobrze zapowiadającej się karierze lekkoatletycznej, którą z własnej woli przerwała dosyć niespodziewanie.

Po weekendzie lekkoatletycznym babcia, która jak zwykle odebrała go ze szkoły, pokazała mu stare wycinki z gazet o jego mamie. Artykuły prasowe traktowały o dobrze zapowiadającej się sportsmence. W jednym z nich nazwano ją “nową

Walasiewiczówną ...”. O tym wydarzeniu mały Kornel nic nie powiedział swojej mamie, jednak zapytał ją, kim była owa Stanisława Walasiewiczówna. Nieświadoma tego wydarzenia opowiedziała mu o wspaniałych osiągnięciach tej wyśmienitej polskiej sportsmenki. Zasnął, śniąc o swojej lekkoatletycznej przygodzie.

Następnego dnia w szkole na lekcji wychowania fizycznego mój mały bohater powiedział swojemu wuefiście, że chce zostać biegaczem, bo już co nie co biega z mamą. Nauczyciel spojrzał na jego dobrze wyrzeźbioną sylwetkę, która idealnie pasowałaby do biegów średnich i długich. Dobrze zbudowane i długie nogi młodzieńca wydawały się mocne i odpowiednie dla biegaczy. W wyniku tej rozmowy młody nauczyciel zarządził zbiórkę na boisku przyszkolnym. Sprawdzał w ten sposób małego Kornela. Ten zafascynowany bieganiem chłopiec nie chciał przerywać. Pomimo tego, że na szutrowej 400-metrowej bieżni zdublował już swoich rówieśników kilka razy, nie chciał kończyć. Biegał wokół boiska, oddychał pełną pierśią i uśmiechał się szeroko. Z jego niebieskich oczu bił blask tak duży, że raził innych kolegów.

Nauczyciel wychowania fizycznego był pod ogromnym wrażeniem. On również, jak mama małego chłopca, uważał lekką atletykę za królową sportu i zobaczył w tym młodym chłopcu ogromny potencjał.

Zamiana korków na buty biegowe

W dniu, w którym wuefista zauważył ogromny potencjał w chłopcu, ten mały niebieskooki blondyn po szkole udał się na piłkarski trening. Na tym treningu unikał kontaktu z piłką, nie chciał i nie angażował się tak jak przedtem. Zauważył to trener młodego piłkarza i po treningu zapytał się, czy wszystko w porządku i czy coś się dzieje. Młody chłopiec odpowiedział, że wszystko w porządku, ale on już nie chce trenować piłki nożnej. Ona go nie interesuje. Zdziwiony trener, który znał ojca chłopca, zagadał go, skąd ta zmiana. Kornel odpowiedział, że on kocha biegać, a piłka nożna nie daje mu tyle radości. Były to dosyć dojrzałe słowa jak na blisko ośmioletniego chłopca. Ale jego piłkarski trener zobaczył, że były to słowa wypowiedziane bardzo poważnie.

Trener postanowił porozmawiać z ojcem, który przyszedł po swoją latorośl.

Ojciec widząc już wcześniej fascynację lekkoatletyką swojego potomka, zgodził się na wypisanie go z sekcji piłkarskiej swojej ukochanej Polonii Bytom. Ojciec bardzo kochał swojego syna i wiedział, że jego wybór jest wyborem świadomym i dojrzałym. A on nie chciał mu zabraniać tego, co lubi, bo chciał dla niego jak najlepiej. Wracając do domu postanowili pojechać do Katowic. Tam znajomy ojca prowadził sekcję lekkoatletyczną dla dzieci i miał zapas butów, które nadawały się do biegania. W ten oto sposób mały Kornel zamienił piłkarskie korki na buty lekkoatletyczne.

Lekkoatleta wielu pasji

Pierwsze treningi odbywał pod okiem wuefisty oraz swojej mamy. Było ciężko, o wiele ciężej aniżeli podczas treningów piłkarskich. Jednak z uporem niespotykanym u jego rówieśników trenował solidnie, bo pomimo młodego wieku miał na siebie pomysł. Chciał być znanym biegaczem.

Od wspomnianych wydarzeń zmieniło się dużo. Zamiast wieczornego czytania bajek jego mama czytała mu niekiedy relacje sportowe z zawodów lekkoatletycznych.

W wieku 10. lat pojechał na swoje pierwsze zawody lekkoatletyczne jako biegacz na 60 metrów. Wygrał te międzyszkolne zawody w cuglach. Drugiego zawodnika wyprzedził o 2 sekundy. Był to wyczyn wcześniej niespotykany na zawodach międzyszkolnych w ich okolicy. Nauczyciele z innych szkół bardzo chcieli go poznać i uścisnąć mu dłoń. Mniej radośni byli jego rówieśnicy, z którymi rywalizował. Kiedy wrócił do domu, w nagrodę za dobrą naukę i coraz lepsze wyniki sportowe wraz z mamą i tatą mieli pojechać do Warszawy na mecz lekkoatletyczny pomiędzy polskimi i brytyjskimi sportowcami. Zawody odbywały się na warszawskiej Skrze 12. i 13. września 1970 roku. Podczas zawodów Kornel miał okazję poznać Marka Józwicka, czołowego w tamtym okresie polskiego płotkarza, który akurat na tym mityngu ustanowił rekord Polski w biegu przez płotki na 110 metrów. Obserwując wielki pojedynek Polaków z mocną ekipą brytyjską, Kornel jeszcze bardziej zafascynował się

lekkoatletyką. Wracał do domu z ogromnym uśmiechem na ustach. Zupełnie inaczej niż z meczów piłkarskich, na których bywał. Lekkoatletyka dawała małemu dziecku ogromną radość.

Do końca podstawówki mój bohater wygrał kilkanaście biegów. W województwie był niepokonany na dystansach od 60 do 1500 metrów. W ósmej klasie podczas jednego z treningów podszedł do trenera i powiedział, że chciałby biegać dalej niż 1500 metrów. Trener szkolny zgodził się bez szemrania – wiedział, że rozmawia z bardzo odpowiedzialnym młodzieńcem. W przeciwieństwie do swoich rówieśników był on ułożonym dzieckiem – wiedział, że chce być sportowcem, a tym samym wiedział, że po podstawówce chce iść do liceum, a dalej podążać drogą swoich rodziców i pójść na AWF.

Młody lekkoatleta jako jedynak był pupilkiem brata swojego ojca. Stryjek był zgoła odmienny od jego taty. Długie włosy, spodnie – dzwony, jeansowa kurtka i luźny sweter. Za sportem nie przepadał, ale uwielbiał muzykę. Grał na gitarze, miał nawet kapelę o dźwięcznej nazwie Ostry

Kieł. Zespół ten grał punk. Stryjek młodego sportowca sprzeciwiał się w swojej muzyce ustrojowi, który rządził w naszym kraju. Pracował na straganie sprzedając kasety oraz płyty muzyczne. W muzyce preferował mocne teksty okraszone ostrymi riffami. Pokazał dorastającemu Kornelowi muzykę, której sam słuchał. Można długo wymieniać kapele, które lubił, a były to między innymi Deep Purple, Black Sabbath, Led Zeppelin czy Iron Maiden. Kornel bardzo upodobał sobie Iron Maiden, które wówczas było znane w naszym kraju głównie z albumu "The Number of the Beast" (1982). Jako, że stryjek mojego bohatera sprowadzał kasety z zachodu, miał on dostęp do całej ówczesnej dyskografii tego brytyjskiego zespołu metalowego.

Był rok 1986, Kornel kontynuował swoją pasję sportową w liceum. Podczas szkolnych zawodów, jako najmłodszy ze startujących, wygrał bieg przełajowy na 3000 metrów. Wygrał go wyprzedzając głównego faworyta, mistrza szkoły, o ponad 3 minuty. Był to prawdziwy *knock-out*. Wiedział, że ma ogromny talent, ale każde zwycięstwo przyjmował spokojnie. Nie wywyższał się nad innymi uczestnikami. Był

skromnym chłopakiem, który dopiero poznawał swoje możliwości.

W kwietniu 1986 w katowickim Spodku odbyła się pierwsza edycja metalowego festiwalu o nazwie Metalmania. Szesnastoletni Kornel bardzo chciał zobaczyć taki festiwal na żywo. O wielu koncertach opowiadał mu stryjek, jednak on sam nigdy na żadnym nie był. Początkowo rodzice nie wyrazili zgody na pomysł, by ich syn poszedł na tę imprezę ze swoim stryjkiem. Brat ojca miał jednak dar przekonywania i wpłynął na rodziców chłopaka, którzy w końcu zgodzili się na udział syna w festiwalu muzycznym. Festiwalu, który na ówczesne czasy był imprezą o podwyższonym ryzyku, bo tak pisała o nim prasa. Kornel miał sposobność zobaczyć i posłuchać, jak kielkuje w Polsce scena metalowa. Usłyszał polskie zespoły, które wówczas zaczynały – Vader, Turbo, Kat, czy Wilczy Pająk. Magia mocnych riffów oraz klimat imprezy wpłynęły pozytywnie na młodego licealistę. Pomimo niepokojów matki, Kornel postanowił uczyć się gry na gitarze pod okiem swojego ulubionego stryjka. Rodzice wiedzieli, że syn jest bardzo dojrzały jak na swój wiek i nie porzuci pasji biegania, a gitara pomoże mu się

jeszcze rozwinąć. Na wspomnianej Metalmanii chłopak poznał Matyldę, uczennicę tego samego liceum co on, jednak z klasy wyżej. Ona również na festiwal poszła ze swoim wujkiem. Nauka gry na gitarze mogła mu pomóc, by jej zaimponować.

Okres liceum minął dosyć szybko. W tym czasie młody lekkoatleta został młodzieżowym mistrzem Polski w biegu przełajowym na 3000 metrów. Grą na gitarze oraz wynikami sportowymi zaimponował Matyldzie tak bardzo, że została jego dziewczyną, a muzycznie w obecności stryjka oraz swojej sympatii zaliczył koncert Iron Maiden. Tak ukształtowany dorastający chłopak wchodził w dorosłość całkowicie spokojnie. Bez żadnych obaw, z pełnym uśmiechem na ustach, pozytywnie nastawiony do życia.

Samotność długodystansowca

Okres studiów na AWF był dosyć burzliwy. Niestety, związek z Matyldą nie przetrwał próby czasu. Dziewczyna zafascynowała się pewnym długowłosym chłopakiem ze Szczecina i postanowiła tam wyjechać na studia. Sam Kornel

nie rozpaczał za bardzo, bo skupiony był na treningach. W czasie studiów posmakował pierwszych porażek sportowych. Było to w momencie, gdy zafascynowany długim bieganiem zmienił kategorię i wystartował w biegu na 10 kilometrów. W pierwszych zawodach nie był faworytem i tak oto ukończył je na odległej 15. pozycji. Nie poddawał się, wiedział, że musi trenować mocniej i ciężiej. Z takim nastawieniem kolejne sukcesy były kwestią czasu.

Pierwsze zawody wygrał, gdy był na trzecim roku studiów. Pojechał wówczas do Warszawy na akademickie mistrzostwa Polski i zwyciężył w biegu na 5000 metrów. Tam zainteresował się nim trener kadry narodowej biegaczy. Po zawodach zaprosił go na konsultacje do siebie do Warszawy. Przez kilka kolejnych miesięcy Kornel podróżował na linii Bytom, gdzie wciąż mieszkał – Katowice, gdzie studiował i trenował – Warszawa, gdzie przechodził wszelkie testy sportowe pod okiem trenera kadry narodowej. Swoje pierwszy zawody międzynarodowe ukończył w Berlinie Wschodnim podczas biegu na dystansie 5000 metrów. Pobiegl w nich bardzo dobrze, jednak zajął dopiero 4. miejsce. Tak podrażniony młody i ambitny

sportowiec postanowił trenować dalej, by wciąż być lepszym. Swoją pierwszy bieg na zachodzie Europy w barwach reprezentacji kraju wygrał w Amsterdamie, gdzie był z kadrą na zgrupowaniu. Był to dystans 10 kilometrów. Wygrał go z przewagą 5 sekund nad drugim zawodnikiem. Opromieniony tym zwycięstwem postanowił wysłać list do rodziców, w którym napisał swój wynik i to, jak bardzo się cieszy z tego, że wygrał. Rodzice byli dumni ze swojego syna.

Kornel zawsze chciał biegać długo. Pamiętał czasy, gdy na pierwszej lekcji WF, kiedy nauczyciel na koniec lekcji kazał mu już przestać, a on nie chciał. Zawsze chciał pobiegać dłużej. W związku z tym postanowił za zgodą trenera wziąć udział w biegu na 15 kilometrów oraz w biegu półmaratońskim. Jedne i drugie zawody wygrał bez problemów, bijąc ówczesnych reprezentantów Polski na tych dystansach. Widząc entuzjazm młodego sportowca, trener kadry narodowej po konsultacji z trenerem akademickim zaproponował występ w kadrze Polski na dystansie maratońskim. Chłopak znany z olbrzymiego entuzjazmu przyjął propozycję i 4 miesiące później wygrał mały maraton rozgrywany w północnej Francji.

Osiągnął wynik, który w Igrzyskach Olimpijskich pozwoliłby mu na zdobycie srebrnego medalu. Trener kadry narodowej, oficjele związku oraz trener akademicki byli zdumieni wyczynem młodego lekkoatlety. Po tym biegu Kornel napisał dwa listy – do rodziców oraz do wujka. W liście do wujka napisał, że biegło mu się cudownie, a w trakcie biegu mógł nucić sobie utwór swojej ulubionej kapeli Iron Maiden pt. *“The loneliness of the long distance runner”* i w końcu mógł poczuć tę samotność długodystansowca, o której śpiewał jego ulubiony wokalista Bruce Dickinson we wspomnianym utworze. Chłopak pokochał to uczucie.

Kontuzja zmieniła wszystko

Od biegów krótkich, poprzez średnie, aż po długie. Takie przeobrażenie przeszedł mój bohater. W tym czasie dojrzał i całkowicie poświęcił się sportowi. W domu bywał sporadycznie, głównie przebywał na zgrupowaniach kadry. A to obozy w górach, a to wyjazdy i starty zagraniczne. Poza nielicznymi wyskokami na koncerty ulubionego

zespołu, skupił się na sporcie i wynikach sportowych. Niecały rok przed Igrzyskami Olimpijskimi walczył o kwalifikację olimpijską na dystansie maratonu. W tym celu przyjechał do Polski, by startować w maratonie. Przez cały bieg utrzymywał się w grupie prowadzącej. Czuł czystą przyjemność z biegu. Na 35. kilometrze postanowił zaatakować i tak na dystansie czterech kilometrów zyskał 2,5 minuty przewagi nad dwójką maratończyków. Zbliżał się 40. kilometr. Niestety okazał się on pechowy. Kornel poczuł ogromny ból w stawie skokowym i goleni. Biegnąc na pełnej szybkości wywrócił się. Leżąc na asfalcie trzymał się za prawą nogę ze łzami w oczach. Nie był w stanie się podnieść. Wszystko działo się na oczach trenerów oraz jego rodziców i stryjka, którzy przyjechali zobaczyć swojego ukochanego sportowca. Tego biegu nie ukończył. Jego finisz miał miejsce na czterdziestym kilometrze. Obserwując czas, jaki miał na 40. kilometrze i szacując potencjalny czas mety – można założyć, że wówczas na początku lat dziewięćdziesiątych osiągnąłby rekord Polski w maratonie, a rok później taki czas w maratonie dałby mu złoty medal na Igrzyskach Olimpijskich.

Wszystko to było, oczywiście, w sferze założeń i gdybań. Ból po biegu był olbrzymi. Diagnoza lekarska była druzgocąca – zerwanie więzadła Achillesa. Kontuzja zakończyła wszelkie przygotowania do Igrzysk, ale również – co gorsza – zakończyła karierę mojego bohatera.

W ciągu kilku miesięcy młody sportowiec przeżył koszmar. Jako magister AWF mógł szkolić adeptów lekkiej atletyki, jednak on wciąż chciał walczyć o swoje. Lekarze cudem uratowali jego stopę. Wrócili mu możliwość chodzenia, ale o sporcie wyczynowym i amatorskim nie było mowy. Kornel stracił swój cały entuzjazm, który go charakteryzował. Nie cieszyła go nawet nowa płyta jego ulubionej kapeli, na którą czekał z wytęsknieniem. Owszem, kiedy w samotności wiele razy płakał, często zamykał się w swoim pokoju i słuchał w słuchawkach *“Fear of the dark”* Iron Maiden. Kontuzja zabrała mu moc. W telewizji śledził Igrzyska Olimpijskie. Oglądał wszystko, nie zgadzał się z decyzją sędziów, którzy ściągali Roberta Korzeniowskiego z trasy, ale kiedy zaczynały się biegi, wyłączał telewizor, wychodził na powolny spacer, zakładał słuchawki

i oddawał się pięknej muzyce swojej ulubionej kapeli. Kontuzja odebrała mu wszystko.

Jakiś czas po tym smutnym okresie miłość i pasja do sportu zwyciężyła. Za namową swojego akademickiego trenera zgodził się pomagać mu w pracy. Odpowiadał za przygotowanie motoryczne zawodników. Zajmował się głównie biegaczami, bo biegi kochał, zwłaszcza te długodystansowe. Jednak z jego usług korzystali też wielobości, skoczkowie oraz w późniejszym okresie również siatkarze i koszykarze. Kornel miał dar przekonywania ludzi, a to, co robił, robił z pasją i polotem oraz pełnym oddaniem. Jako że był dobry w tym co robił, jego były trener kadry poprosił go o pomoc w przygotowaniu motorycznym biegaczy długodystansowych z kadry Polski. W ten oto sposób dorosły Kornel rozpoczął nowy etap swojego życia.

Ignacy



Maraton na starcie

Był zimny listopadowy wieczór, w szpitalu powiatowym w Barczewie w województwie olsztyńskim na początku lat osiemdziesiątych na świat przyszło dwóch braci bliźniaków. W wyniku wczesnego porodu w 29. tygodniu ciąży na świat przyszli Aleksander oraz Ignacy. Niska masa urodzeniowa, nieprzekraczająca 1500 gramów, wczesny poród oraz śródciążowe zakażenie gronkowcem złocistym spowodowały ogólne osłabienie nowo narodzonych bliźniaków. Pierwszy z nich – starszy o dwie minuty Aleksander – po długim leczeniu w inkubatorze zmarł w 4. dobie życia z powodu niewydolności krążeniowo-oddechowej. Jego organizm nie był tak mocny i nie podjął należytej walki z drobnoustrojami. Rodzice obu malców przeżyli dramat, ale wiedzieli, że muszą być silni i wspierać swoje drugie dziecko. Po tygodniu od porodu małego Ignacego odłączono od tlenu i postanowiono przewieźć go do Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Ta klinika, obchodząca wówczas trzecią rocznicę działalności, zgodziła się przyjąć Ignacego na oddział pulmonologii. Trafił

tam z powodu niewydolności oddechowej. Ignacy już w momencie urodzenia cechował się mocnym organizmem, który podjął walkę. Walka organizmu, prawidłowa reakcja na leki oraz dobra ręka lekarzy w Instytucie Pomniku Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie przyczyniły się do tego, że nasz bohater opuścił szpital w 6. miesiącu życia. W tym czasie przechodził zabiegi drażnienia górnych dróg oddechowych, stosowano także mocne antybiotyki w celu poprawy stanu zdrowia. Tak mocne antybiotyki zazwyczaj podrażniają nabłonek zmysłowy, a u Ignacego pogorszyło wzrok, co już wtedy zaczęło się objawiać małym zezem. Kiedy Ignacy opuszczał szpital, jego rodzice wiedzieli, że chłopiec będziemy słabszy niż jego rówieśnicy. Jak powiedział lekarz prowadzący: “Państwa syn sportowcem wyczynowym nigdy nie będzie, ale jest zdrowy, a to najważniejsze ...”.

Po 6 miesiącach pobytu w Warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka Ignacy wraz ze swoimi rodzicami powrócił do rodzinnego domu zlokalizowanego nad jeziorem Umląg, we wsi oddalonej około 10 kilometrów od miasta, w którym przyszedł na świat. Jego rodzice wciąż

rozpaczali po stracie Aleksandra. W domu, w którym mieszkali, na długo zapanował smutek. Byli oni zwykłą rodziną – ojciec pracował na roli, mama zajmowała się domem. Ignacy nie miał dziadków, jego rodzice pochodzili z domu dziecka w Olsztynie. Ten kawałek ziemi nad jeziorem Umląg dostali do użytku od miejscowego PGR. Ich gospodarstwo składało się z dwóch hektarów ziemi, na której siali ziemniaki i kapustę, głównie na swój użytek oraz na handel. W gospodarstwie mieli dwie krowy i konia, którego ojciec wykorzystywał do uprawy pola. Jezioro, nad którym mieszkali, było duże i czyste. W latach osiemdziesiątych dookoła tego zbiornika naturalnego był las. Cały ten teren sprawiał wrażenie bardzo zdrowego, a takiego klimatu właśnie potrzebował organizm małego Ignacego, który – jak twierdzili lekarze – będzie wymagał w przyszłości obserwacji w kierunku chorób płuc.

Pierwsze lata życia Ignacego były związane z wieloma wizytami u lekarzy. Odwiedzał lekarzy w Szpitalu Wojewódzkim w Olsztynie kilka razy w miesiącu. Ci zdiagnozowali u niego astmę oraz wadę wzroku. Mały Ignacy nosił okulary i przyjmował leki wziewne na poprawę stanu płuc i

oddychania. Ale mimo tych schorzeń był bardzo bystrym dzieckiem – bardzo ciekawym otaczającego go świata. Do przedszkola nie chodził, ale wiedzę o życiu przekazywała mu mama. Wiedzę o życiu oraz o tym, że miał małego brata – Aleksandra. W wieku 4 – 5 lat Ignacy pomagał w drobnych pracach swojemu ojcu, poznawał życie i wierzył, że mały Aleksander jest z nim zawsze tam, gdzie on. Nieraz, jak był na wizytach u lekarzy, to prosił ich o to, by ci zaglądali do gardła także jego braciszкови. Lekarze znali sytuację z porodu i bez szemrania się zgadzali. Nawiazywali tym samym nic porozumienia z małym pacjentem, co jest bardzo ważne w stawianiu diagnoz i leczeniu. Z racji miejsca zamieszkania Ignacy w wieku trzech lat umiał już pływać. Nauczył go ojciec, który potrafił przepłynąć całe jezioro wpław. Dla Ignacego był to wzór, także bardzo chciał tak kiedyś zrobić. Jednak póki co astma wiele razy dawała się we znaki małemu chłopcu. Ale nie poddawał się. Miał marzenie, by być zdrowym i wierzył w to, że kiedyś nie będzie musiał chodzić do lekarzy.

Mniej więcej w wieku 5 lat nasz bohater zafascynował się piłką nożną. Bakcyła złapał od

taty, który często oglądał mecze. Mały Ignas nie opuścił żadnej transmisji w Telewizji Polskiej, zwłaszcza że wspólne oglądanie rozgrywek piłkarskich w jego domu rodzinnym przypominało święto. Tata przerywał pracę, mama przyrządzała dobry obiad i siadali na starej, wysłużonej wersalce przed telewizorem. Transmisja niekiedy wyrządzała psikusa, bo albo coś śnieżyło, albo na kilka chwil traciło się obraz, ale taki był urok lat osiemdziesiątych. W ten oto sposób mały Ignacy poznał Smolarka czy Bońka – swoich piłkarskich idoli. Pasja piłki nożnej zakwitła w chłopcu bardzo mocno. Kiedy więc któregoś dnia jak co tydzień byli na rynku, gdzie sprzedawali wyhodowane ziemniaki, ojciec postanowił mu kupić piłkę. Mały Ignacy bardzo się ucieszył, nie mógł wtedy zbyt mocno biegać z powodu astmy, ale każdego dnia z przyjemnością kopał piłkę bawiąc się z ojcem.

W 1986 roku, kiedy Polska na długie lata odpadała z Mundialu w Meksyku, Ignacy miał 6 lat i chodził do zerówki w szkole w Barczewie. Tam poznał kolegów, których w okolicy swojego zamieszkania nie miał zbyt wielu. Wiele razy bawili się w berka czy grali w piłkę – jednak wówczas astma zmuszała go do odpoczynku. Nasz

charakterny bohater nie poddawał się jednak i po chwili wracał na plac zabawy czy boisko i z zawziętością walczył o wygraną. Niekiedy przegrywał, ale w wielu przypadkach pozostawał na polu walki jako zwycięzca. Pewnego dnia, będąc w przyszkolnej zerówce, czekał na tatę, który miał go odebrać. Niestety nie przychodził on bardzo długo, a nasz bohater zaniepokojony jego brakiem nie wiedział co robić. Uciekł więc opiekunce i zaczął biec. Ze szkoły do jego rodzinnego domu było około 10 kilometrów. Ignacy biegł po drodze, którą znał na pamięć, bo przemierzał ją zawsze z ojcem, gdy obaj jeździli ich wysłużoną syrenką na rynek w weekendy. Kiedy mały chłopiec dotarł na miejsc, nikogo nie zastał. Ojciec wrócił do domu dopiero późnym wieczorem. Okazało się, że mama Ignacego zasłabła i trafiła do szpitala. Lekarze nie wiedzieli, co jej jest. Zmarła tej samej nocy, kiedy ojciec wrócił zaniepokojony do domu i wraz z synem modlił się o zdrowie mamy. Niestety chłopiec nigdy już jej nie zobaczył. Rodzina pograżyła się w żałobie. Ojciec nie potrafił spokojnie przekazać tej informacji synowi. Obaj czuli się samotnie, jednak wiedzieli, że muszą być jak drużyna piłkarska i trzymać się razem. W

wyniku tak pokręconych rodzinnych losów Ignacy wielokrotnie przemierzał drogę do zerówki, a później i do szkoły pieszo czy biegiem. Ku swojemu zdumieniu, sprawiało mu to coraz mniej problemów. Dla organizmu w wieku 6 – 7 lat był to nie lada wyczyn, porównywalny z biegiem maratońskim. Chłopiec był bardzo dotknięty przez los i wiedział, że musi być silny i nie poddawać się, by pokonać każdą przeszkodę. W końcu nie był to pierwszy “maraton”, który w swoim młodym życiu przebył od urodzenia.

Przełom

W podstawówce, do której uczęszczał mały Ignacy, lekcje wychowania fizycznego prowadził nauczyciel bardzo zafascynowany lekkoatletyką. Zachęcał on swoich uczniów do biegania, skakania oraz innych czynności lekkoatletycznych. Stan płuc Ignacego określano wówczas jako poprawny, a astma nie dawała się we znaki. Jego sylwetka była bardzo drobna i szczupła, ale charakter bardzo mocny. Podczas jednej z lekcji WF nauczyciel poprosił go, by przebiegł dookoła

boiska. Ignacy bez zastanowienia wykonał polecenie wuefisty, w końcu prawie codziennie biegał z domu do szkoły i na odwrót. Ku zdziwieniu nauczyciela oraz uczniów Ignacy zaczął biec i nie chciał skończyć. Cieszył się, że może to robić bez żadnego problemu z płucami, które miały przecież swoją historię. W związku z tym nauczyciel zgłosił go do drużyny sportowej na zawody powiatowe. Jednak ojciec z troski o zdrowie syna nie wyraził zgody na jego start. Bał się stracić jedyne go człowieka, dla którego chciał żyć. Był to rok 1988. W tym roku miały się odbyć Letnie Igrzyska Olimpijskie w Seulu. Ignacy wyczekiwał transmisji telewizyjno-radiowej z tej imprezy, a sam w ukryciu przed tatą biegał do szkoły i z powrotem. Tak naprawdę nie wiedział o tym, ale dzięki temu podwyższał wydolność swojego organizmu. Na jednej z wizyt kontrolnych u lekarza w Olsztynie okazało się, że stan płuc jest bardzo dobry i praktycznie nie ma śladu po chorobie. Lekarz przypuszczał, że przyczyniła się do tego okolica, w której chłopiec mieszkał razem z ojcem. Zapobiegawczo zostawił jednak jeden lek wziewny. Z wizyty wyszli zdumieni i zadowoleni. Z uśmiechem na ustach w rozmowie z synem tata

powiedział: “Teraz możesz biegać, skakać, pływać do woli ...”. Chłopiec odpowiedział, że robi to w ukryciu. W głębi serca obaj wierzyli, że tam w górze pomagają im mama oraz brat małego Ignacego, bo los się w końcu zaczął odmieniać.

Maratońskie marzenie

Po wizycie u lekarza Ignacy podjął śmiało treningi pod okiem swojego wuefisty w szkolnej drużynie sportowej. Jako że był to rok Igrzysk Olimpijskich, to królowała lekkoatletyka. Dzieci biegały, skakały, rzucały piłeczką do palanta. Ignacy trenował, żył i oddychał pełną piersią. Nauczył się pływać, w wieku ośmiu lat potrafił wyprzedzić ojca, gdy urządzali swoje zawody w przydomowym jeziorze. Ojciec nie wierzył własnym oczom. Chłopiec w tak krótkim czasie wystrzelił. Na lekcjach wychowania fizycznego nie miał problemów w żadnej dyscyplinie. Przeganiał każdego na 60 i 100 metrów, dalej też od innych skakał. Problem sprawiał mu jedynie rzut piłką. Ale nie można być dobrym we wszystkim. Wciąż biegał do szkoły, teraz już

ojciec mu tego nie zabraniał. Kiedy wystartował w pierwszych międzyszkolnych zawodach – w biegu na 60 i 100 metrów – jego konkurencja oniemiała. Niektórzy z zawodników stanęli, bo mały i drobny Ignas pędził z prędkością szybkiego zwierzęcia. Z pierwszych zawodów przywiózł dwa tytuły – mistrza powiatu młodzików na biegu na 60 i 100 metrów. W nagrodę ojciec mocno go przytulił i wieczór spędzili wspominając mamę i snując wyobrażenia o ich rodzinie. Mały Ignacy lubił te wieczory spędzane z ojcem. Wiedział, że mają tylko siebie i muszą dbać o ich małą rodzinę z całych sił.

Po zawodach powiatowych przyszedł czas na szkolne zawody wojewódzkie. W nich nasz bohater wystartował w biegu na 100 i 200 metrów. Nasz drobny biegacz biegający w czarnych okularach nie dał szans konkurencji. Jego trener i nauczyciel powiedziano, że śmignął jak rakietka. Kiedy kończył bieg na 200 metrów, chłopiec powiedział: “To dla Was, mamó i Aleksandrze...”. Ale po skończonym biegu chłopcu było za mało i za krótko. Niestety nie mógł wystartować w biegu dłuższym niż 200 metrów ze względu na swój

wiek. Dla jego kategorii wiekowej były przewidziane tylko te najkrótsze biegi.

Kilka miesięcy później, wiosną 1989 roku Ignacy pojechał na międzywojewódzkie zawody lekkoatletyczne do Warszawy. Odbyły się one na terenach Warszawskiej Skry. Przed zawodami zobaczył plakat reklamujący XI Maraton Pokoju, który miał się odbyć 27. września 1989. Zawody wygrał jednogłośnie zdobywając tytuł Mistrza Polski w biegu na 200 metrów. Do rodzinnego domu wrócił z uśmiechem na ustach. Wieczorem przy kolacji w rozmowie z ojcem oznajmił, że w przyszłości zostanie maratończykiem. Ojciec zdumiony uśmiechnął się tylko, po czym jak gdyby nigdy nic popił kęs kanapki słodką herbatą.

Nazajutrz na szkolnym treningu Ignacy podszedł do trenera i oznajmił: “Trenerze, jak dorosnę, będę maratończykiem”. Trener zrobił duże oczy ze zdumienia. Lekko nie dowierzał w słowa małego chłopca, powiedział więc: “W porządku, ale najpierw pobiegaj spokojnie wokół boiska. Zrób 10 pętli truchcikiem, a potem kilka przyspieszeń dla pobudzenia. Na końcu dorzuc rozciąganie. Musisz odpocząć po zawodach.” Chłopiec wykonał trening w stu procentach,

jednak w trakcie treningu rozmyślał o tym, jakby to było biec na zawodach dłużej aniżeli te kilkanaście sekund. Wiedział również, o czym zawsze powtarzał mu ojciec, że wszystko przychodzi z czasem, a teraz był po prostu za młody na taki dystans. Miał skończone 9 lat, ale cechowała go cierpliwość prawdziwego mężczyzny.

Trener i ojciec wiedzieli o tym, że chłopiec często biegnie z domu do szkoły i z powrotem. Teraz stało się coś więcej. Chłopiec słynął w swojej okolicy z tego, że realizuje wszystkie swoje pragnienia i jest w stanie o nie zawalczyć. Toteż kiedy powiedział, że chce zostać maratończykiem, zarówno ojciec chłopca, jak i trener, zdawali sobie sprawę z tego, że ten uczyni dużo, by tego dokonać. Chociaż ojciec zdawał się martwić jego słowami, to poczynił tak jak kiedyś sobie samemu obiecał – chciał wspierać swojego syna w każdej płaszczyźnie jego życia.

Nasz bohater do połowy lat dziewięćdziesiątych uczęszczał do szkoły podstawowej, w tym czasie zdobył kilka tytułów Mistrzostw Polski na wielu dystansach. Ale najwięcej radości przyniósł mu start na 3000 oraz 5000 metrów w biegu

przełajowym w 1995 roku. W swojej kategorii wiekowej zdobył tytuł mistrza Polski na tych dystansach. Wówczas pewna dziennikarka z Przeglądu Sportowego przeprowadziła z nim krótki wywiad. Na pytanie, komu dedykuje te medale i dlaczego biega, odpowiedział: “Żeby mama z bratem, którzy umarli dawno, byli ze mnie dumni”. Filigranowa dziennikarka sportowa na kilka sekund przerwała wywiad ze wzruszenia, a w jej oczach pojawiły się łzy. Na twarzy Ignacy wymalowaną miał pełną koncentrację i skupienie. Na końcowe pytanie o marzenie odpowiedział, że chce startować w maratonach i zdobyć medal olimpijski tak jak Emil Zatopek, o którym wielokrotnie czytał.

Ignas maratończyk

Kiedy Ignacy kończył podstawówkę, postanowił zostać z ojcem na roli i pomagać mu rozwijać gospodarstwo. Już wcześniej doskonale sobie radził pomagając ojcu w zbiorach ziemniaków i innych warzyw. Dzięki kilku inwestycjom, jakie poczynił ojciec nastolatka,

gospodarstwo wzbogaciło się o dwie krowy, byka i traktor. Ojciec i syn czerpali korzyść nie tylko z uprawy warzyw, ale również ze sprzedaży mleka oraz mięsa. Zaczęło się dziać. Tata chłopca nie musiał już tak ciężko pracować. Przede wszystkim miał pomoc syna, ale również zatrudniał dwie osoby. Pracowały one na polu przy zbiorach ziemniaków i innych warzyw. Ojciec cieszył się z pomocy syna, ale przede wszystkim chciał, by ten kontynuował naukę oraz treningi pozwalające mu odnosić sukcesy sportowe. Po podstawówce dojrzewający Ignacy rozpoczął naukę w technikum mechanicznym. Pięcioletni okres nauki minął bardzo szybko. W tym czasie miał kontakt ze swoim trenerem z podstawówki, ponieważ w jego technikum nie było chętnych do prowadzenia zajęć sportowych. Z tej racji zawsze po szkole, która znajdowała się w Olsztynie, trenował na terenach miejscowego uniwersytetu. Miał okazję trenować ze starszymi zawodnikami, którzy wielokrotnie przecierali oczy ze zdumienia, bo dostali w kość na treningu od biegacza młodszego o kilka lat. W międzyczasie jego trener, odnawiając kontakty ze środowiskiem sportowym w Olsztynie, zaprowadził go na spotkanie treningowe do sekcji

lekkoatletycznej miejscowego uniwersytetu. Po pierwszym treningu trener studentów zgodził się trenować nastolatka. Była to ostatnia klasa technikum; do tego czasu nasz bohater dwa razy obronił tytuł najlepszego w kraju na dystansie 5 000 metrów w biegu przełajowym. Za każdym razem czynił to w zwykłych trampkach. Kiedy został przyjęty do sekcji lekkoatletycznej uniwersytetu, dostał profesjonalne biegowe obuwie. A trenerzy i biegowi współkompani nazywali go “Ignasem maratończykiem” – ze względu na typową maratońską budowę ciała i młody wiek.

Treningi w nowym środowisku zaowocowały. “Ignas maratończyk” zamierzał zdawać na uniwersytet, na terenach którego trenował. W tym czasie, korzystając z pracy pracowników ojca, mniej pracował w gospodarstwie rodzinnym. Rozrosło się ono dwukrotnie, co wpłynęło na status finansowy jego małej rodziny.

Zbliżał się okres matur w 2000. roku, a nasz bohater w nagrodę za sukcesy sportowe dostał od ojca mały samochód. Był nim Fiat 126P. Ignacy mógł bez obaw przemierzać drogę od domu do szkoły i z powrotem, a czas poświęcony na

przebiegnięcie tych 18 kilometrów, jak to wielokrotnie się zdarzało, zagospodarować na dobry trening.

Maturę zdał wyśmienicie – wszystkie przedmioty na stopień bardzo dobry. Egzaminy na studia również bardzo dobrze. W październiku 2000. roku “Ignaś Maratończyk” znany był w środowisku sportowym i studenckim jako młody biegacz, który wygrywał biegi już nie tylko przełajowe, ale również uliczne z biegiem na 10 km w Trójmieście włącznie, gdzie ustanowił rekord trasy w mocno obsadzonych zawodach.

Skrzyżowanie dróg



Do pierwszego roku studiów Ignacy współpracował ze swoim trenerem z podstawówki. Wtedy to ten starszy jegomość przeszedł na zasłużoną emeryturę. Zmartwiło to naszego bohatera, jednak nie zostawił go samego. Skontaktował go z pewnym trenerem ze Śląska. Okazał się nim nasz drugi bohater – Kornel, który wskutek poważnej kontuzji przedwcześnie zakończył karierę. Kornel przez te lata rozwijał się w fachu trenerskim. Pod jego opieką trenowali najlepsi zawodnicy w naszym kraju. Początkowo był asystentem i trenerem przygotowania motorycznego w kadrze polskich lekkoatletów, obecnie odpowiadał za szkolenie biegaczy oraz ich przygotowanie motoryczne, a także za selekcję najlepszych w tym kraju. Kornel znał się z trenerem Ignacego jeszcze z czasów studenckich. Razem nie tylko ćwiczyli, ale również słuchali ulubionej muzyki. W jego życiu po upadku zmieniło się wiele, ale zapragnął wyszkolić najlepszych biegaczy na świecie. Trochę to było oderwane od rzeczywistości, w której Etiopczycy i Kenijczycy biją wszystkich na głowę, ale jak sam mówił – próbować zawsze warto. To samo powiedział Ignacy, kiedy dostał propozycję

współpracy z Kornelem. Odstraszała go trochę odległość, bo z Katowic do Olsztyna jest dosyć daleko. Po zbadaniu organizmu Ignacego umówili się na konsultacje co dwa tygodnie oraz kontakt telefoniczny. Trener Kornel był pod wrażeniem wytrzymałości i wydolności swojego nowego podopiecznego. Na wstępnym treningu, który odbył się na bieżni lekkoatletycznej w katowickiej AWF, byli obecni również inni podopieczni Kornela, którzy wygrywali już biegi długie zdobywając medale mistrzostw Polski. Wśród nich Ignacy okazał się najmocniejszy, a zapytany przez Kornela o plany, jakie by chciał realizować, odpowiedział, że chciałby wygrać duży maraton. Kornel w pamięci cofnął się do lat swojej młodości – w swoim podopiecznym ujrzał samego siebie. Bardzo mu się spodobała jego waleczność, pewność siebie oraz wytrwałość.

Pierwszy start pod okiem Kornela Ignacy zaliczył na dystansie półmaratonu w Bydgoszczy. Wygrał tam rywalizując do ostatniego kilometra z zawodnikiem z Ukrainy i uzyskał w swym debiucie półmaratońskim czas 1:03:02. Wówczas nasz bohater miał niespełna 22 lata. Kiedy wrócił do domu, z dumą pokazał ojcu medal i czek na

1000 złotych. Ale ważniejsze od zwycięstwa była dla niego duma oraz chęć podzielenia się wrażeniami z bliskimi. Dzień później zjawił się w jego domu trener Kornel. W imieniu AWF Katowice zaproponował młodemu studentowi przeprowadzkę na Śląsk i trenowanie pod jego okiem każdego dnia. Ignacy był zachwycony takim obrotem sprawy i wyrażał wielkie chęci, jednak ojciec trochę posmutniał. Ostatecznie dla dobra kariery syna zgodził się na taką rozłąkę i pozostanie samemu w domu. W końcu jak mówił trener Kornel – Ignacy miał przed sobą sportową przyszłość, ale żeby doszlifować ten diament, musi mieć go blisko.

I tak latem 2002. roku Ignacy przeprowadził się do domu Kornela pod Katowicami. Dom ten składał się z dużego salonu, trzech sypialni, dużej kuchni i dwóch łazienek. Zbudowany był dwupoziomowo – parter i pierwsze piętro. Do ojca Ignacy przyjeżdżał początkowo w weekendy co dwa tygodnie. Wówczas zajmowali się sobą nawzajem, ciesząc się każdą wspólną chwilą.

Nowe otoczenie, nowi ludzie, nowe wrażenia przyczyniły się do większej aktywności Ignacego. Studia okazywały się dla niego łatwe, podobnie

było na startach wielu biegów. W Mistrzostwach Polski w Półmaratonie zdobył złoty medal, podobnie w starcie na 10 000 metrów. Ale ten najważniejszy start miał dopiero nadejść. Trener Kornel zapisał go na maraton w Warszawie. Miał pojechać tam jako młody reprezentant Polski. Toteż przed maratonem w domu trenera Kornela odbyło się zgrupowanie, na które zjechali się także inni zawodnicy. Kornel słyszał z tego, że nie współpracował jedynie z biegaczami. Konsultacje u niego odbywali również skoczkowie w dal, wzwyż oraz płotkarze. Od pewnego czasu pomagał również pewnemu starszemu zawodnikowi, który był niepełnosprawny. Stracił obie łydki w wypadku. Okazał się nim nasz pierwszy bohater – Marcin. Ten blisko 40-letni zawodnik, przemierzający trasy biegów na *handbike*'u, cieszył się z możliwości konsultacji u tak zanego trenera z tak mocnymi zawodnikami. Marcin po założeniu rodziny skupił się na treningach, które w jego wypadku były kosztowne. Ale udało mu się znaleźć sponsora na sprzęt i podróże, dzięki czemu mógł realizować swoje marzenia.

Kiedy zawodnicy zjeżdżali się do domu Kornela, oprowadzał ich i pomagał rozmieszczać się im właśnie Ignacy. Trener Kornel w tym czasie siedział w swoim gabinecie na poddaszu. Kiedy wszyscy się zjechali, trener Kornel zszedł na dół i zorganizował zbiórkę dla wszystkich czterech zawodników – dwóch naszych bohaterów oraz dwóch biegaczy średniodystansowych. Opowiedział im, jak będą wyglądały ich najbliższe dni, oraz o tym, do czego dążą. Każdy trening biegaczy odbywał się na bieżni lekkoatletycznej. Treningi Ignacego odbywały się również w lesie – to w przypadku długich wybiegań, które w przygotowaniu maratońskim są najistotniejsze. Z kolei Marcin odbywał treningi na siłowni pod okiem trenera Kornela i jego asystentów oraz ruszał w trasę na swoim *handbike*'u, a za nim Kornel na swoim motorze. Niekiedy towarzyszyli mu pozostali partnerzy z obozu. W drugiej części tego zgrupowania cała ekipa wyjechała w Tatry, by złapać trochę wysokości przedstartowej i popracować nad treningiem wydolnościowym.

W czasie wolnym urządzali sobie wzajemne wewnętrzne zawody, czy też chodzili do kina albo słuchali muzyki. Trener Kornel znany był w

środowisku jako meloman, wtórował mu z tym Marcin. Ich gusta muzyczne wzajemnie się uzupełniały, toteż wieczorami słuchali muzyki z winyli. Trener pokazał swoim podopiecznym kilka płyt swojej ulubionej kapeli – Iron Maiden, a także podzielił się wspomnieniami z pierwszych koncertów oraz zawodów. Opowiadał o tym, jak miłość do muzyki wpoił mu stryjek, a do sportu rodzice. Jego podopieczni słuchali go wytrwale. Wiedzieli, że w dziedzinie sportu trener Kornel jest najlepszy i lepiej trafić nie mogli. Ignacy oraz Marcin często tęsknili za swoimi rodzinami. Marcin do żony i córki, a Ignacy do ojca. Podczas wielu przegadanych wieczorów nasi bohaterowie opowiadali sobie o smutku, który im towarzyszył po wypadkach czy niepowodzeniach i o tym, ile daje im sport. Trener Kornel opowiedział o swoim nieszczęśliwym upadku, Marcin o swoim, a Ignacy o samotności i braku mamy oraz brata, którego nie poznał. Kilka takich wieczorów przyczyniło się do zawiązania się silnych więzi między zawodnikami oraz trenerem.

Treningi wkroczyły w ostatnią, najmocniejszą fazę, ale w tak wspaniałej atmosferze wchodziły bardzo dobrze i przyjemnie. Obóz trwał miesiąc,

ale zawodnicy mieli wrażenie, że znają się od lat, a trener Kornel objął ich ojcowską opieką. Było to cudowne doświadczenie również dla Kornela, który zrezygnował z życia prywatnego na rzecz sportu i swoich podopiecznych. A chemia, jaka się wytworzyła podczas tego zgrupowania, była niesamowita. Na samą myśl, że czas ucieka, Kornel uronił kilka łez, bo traktował swoich zawodników jak dzieci, których nie miał. W ten oto sposób doszło do skrzyżowania dróg naszych trzech bohaterów. Każdy z nich miał swoje marzenia, a dzięki takiej owocnej współpracy mogli iść za ciosem w kierunku ich realizacji. Zarówno Ignacy, jak i Marcin chcieli zostać najlepszymi w Polsce w swoich kategoriach startowych, a także chcieli wystąpić na Igrzyskach Olimpijskich. O tym, czy tak się stanie, miało się dopiero okazać.

Lucjan



Pierwsze sportowe fascynacje

W połowie lat osiemdziesiątych XX. wieku urodził się nasz najmłodszy bohater. Na świat przyszedł na przełomie wiosny i lata w szpitalu wojewódzkim w Elblągu. Wraz z rodzicami i starszą siostrą mieszkał w starym ponemieckim bloku na wojskowym osiedlu. Była to normalna rodzina z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Rodzice pracowali w miejscowych fabrykach. W przeciwieństwie do trójki naszych pozostałych bohaterów, mały blondwłosek Lucjan nie miał zbyt wyraźnych wzorców sportowych w domu rodzinnym. Rodzice naszego niebieskookiego chłopaka nie uprawiali sportu. Wyjątek stanowiła mama chłopca, która już od 1982. roku interesowała się piłką nożną. Jej bohaterem wśród piłkarzy był Zbigniew Boniek. Właśnie od swojego piłkarskiego idola pieczołotliwie nazywała swojego syna "Zibi". Jak wielokrotnie przyznawała – miał on tak samo krzywe nogi jak Zibi. Innym wątkiem w życiu Lucjana były szachy, których zasady opanował już w wieku 5 lat. W roku 1992 po raz pierwszy ograł

w długiej partii szachów ojca, który nauczył go tej królewskiej gry.

Kolejnym jego sparingpartnerem był sąsiad – kolega ojca – z którym także sobie poradził. Oprócz szachów Lucjan niespecjalnie rwał się do sportu. Późno nauczył się również jeździć na rowerze. Musiało minąć wiele czasu, by opanował tę sztukę, przysparzając sobie wielu siniaków z powodu niejednego upadku. Ten stan rzeczy zmienił się w wakacje roku 1992 podczas transmisji z Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie. Matka chłopca już wiele miesięcy opowiadała mu o Igrzyskach i startach Polaków w imprezach tej rangi. Tak się świetnie złożyło, że w tym czasie bardzo dobrze radziła sobie Olimpijska Reprezentacja Polski w piłce nożnej pod przewodnictwem Janusza Wójcika. Młody kibic miał możliwość śledzić poczynania polskich piłkarzy w każdym meczu – począwszy od pierwszego grupowego starcia z Kuwejtem (2:0), a skończywszy na przegranym finałowym spotkaniu z gospodarzem turnieju, Hiszpanią (2:3). Nasz bohater ze łzami w oczach oglądał, jak Polacy po przegranym boju odbierają srebrny medal Igrzysk Olimpijskich. I chociaż wówczas sobie z tego nie

zdawał sprawy – miał to szczęście, by oglądać te rozgrywki piłkarskie, ponieważ przez najbliższe lata w Polskim futbolu sukces ten nie zostanie powtórzony. Jeszcze bardziej piękno sportu poczuł oglądając zmagania Roberta Korzeniowskiego, który został zdjęty przez sędziów w momencie, gdy pewnie szedł po medal olimpijski. Mały Lucjan przez wiele miesięcy nie mógł pogodzić się z porażką swojego pierwszego idola sportowego w sportach indywidualnych. Miłość do sportu Lucjan dostał od matki, poparł ją strategicznym myśleniem wyjętym z szachów, których zasad nauczył go ojciec, a transmisja z Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie pokazała piękno rywalizacji sportowej. Od tej pory nasz niebieskooki blondyn zafascynował się piłką nożną oraz osobą Roberta Korzeniowskiego.

Jesienią 1992 roku, kiedy Lucjan wracał przez park ze szkoły do domu swojej babci, na boisku zobaczył zmagania piłkarskie dwóch miejscowych zespołów półprofesjonalnych. Tak zafascynowały go potyczki piłkarzy, że babcia, która opiekowała się nim i siostrą po szkole do czasu powrotu rodziców z pracy, zaniepokojona wyszła naprzeciw, by poszukać wnuka. Mały Lucjan nie

chciał się słuchać babci i wracać do domu. Na jego nieszczęście – mecz trwa tylko 90 minut. Nasz bohater czuł dreszcze na skórze i ekscytował się każdym zagranieniem miejscowych piłkarzy. Kiedy mecz się zakończył, podbiegł do piłkarzy i zapytał, kiedy znowu grają. W odpowiedzi usłyszał, że w sobotę o 15:00. Bardzo mocno to zapamiętał i kilka dni później w sobotni poranek, kiedy wszyscy jeszcze spali, wstał i czekał na godzinę 15:00. Niestety jego mama pracowała, a w domu był tylko ojciec, który nie podzielał jego fascynacji futbolem. Lucjan jako siedmiolatek, walczący o swoje, sprzeciwił się ojcu. Ten jednak, nie patrząc na prośbę swojego syna, oddał jego i siostrę pod opiekę babci, a sam udał się w nieznanym kierunku. Mały chłopiec rozpaczał, ale na ratunek z odsieczą przyszła babcia, która włączyła transmisję telewizyjną z meczu Polskiej Ligi (Legia Warszawa z Zawiszą Bydgoszcz), w którym Legioniści zaaplikowali gościom 5 bramek, a stracili jedną. W tym meczu, podobnie jak w meczach kadry olimpijskiej, brylował Wojtek Kowalczyk, a obroną warszawian dyrygował Jacek Zieliński. I robił to w tak dobrym stylu, że został ulubionym zawodnikiem małego

Lucjana. Od tej soboty, dnia 8.11.1992 roku, Lucjan śledził rozgrywki Polskiej Ligi z nastawieniem na poczynania Legii Warszawa i swojego nowego idola piłkarskiego – Jacka Zielińskiego, klasycznego środkowego obrońcy, który w późniejszym czasie zostanie ikoną Legii Warszawa.

W kolejnych kilku miesiącach w ognisku domowym małego chłopca coś zaczęło się psuć – jego rodzice postanowili żyć osobno. Po głośnym końcu związku doszło do rozwodu. Mały Lucjan zaczął lęklonie spoglądać na świat. Uciekał w swoje pasje – szachy oraz piłkę nożną. W świecie piłki nożnej wydarzyło się wiele – jego ukochanej Legii Warszawa odebrano tytuł mistrzowski, ale po roku go odzyskała. I jak wiemy z historii, rok później zdobyła go ponownie, mając najlepszy skład w Polsce z idolem naszego Lucjana – Jackiem Zielińskim. W tym czasie kadra Polski nie radziła sobie zbyt okazale, toteż nasz bohater zmartwił się, że nie zagrają na Mistrzostwach Świata w USA (1994). Wiosną przed mundialem, spędzając wakacje w Płocku, Lucjan po raz pierwszy poszedł na mecz drugiej ligi, w którym Petrochemia Płock pokonała Jagiellonię Białystok 7:1. Na mecz

zabrał go jego starszy kuzyn, wcześniej pokazując znakomite tereny wokół Płocka. Lucjan wówczas nie był zbyt aktywnym dzieckiem, cechowała go spora nadwaga. W dużej mierze wynikało to z rozvodu rodziców i alienacji małego człowieka od otoczenia. Alienacja zmieniała się jednak w otwartość, kiedy była mowa o sporcie. O nim mógłby dyskutować godzinami, a swoimi rzeczowymi argumentami potrafił przekonać niejednego dorosłego. Mniej więcej od wiosny 1994. roku mały Lucjan miał dwie ulubione drużyny piłkarskie – dwie pod względem kibicowskim, nastawione do siebie trochę antagonistycznie – Legię Warszawa i Petrochemię Płock.

Prawdziwą futbolową gorączkę Lucjan poczuł w wakacje 1994. roku, kiedy przed telewizorem wraz z mamą i swoim kuzynem oglądali zmagania piłkarzy podczas mundialu rozgrywanego w USA. Małego chłopca nie można było odgonić od telewizora. Odchodził od niego tylko w przerwie między meczami. Z racji nieobecności Polski kibicował reprezentacji Włoch, która świetnie grała pod przewodnictwem Roberto Baggio. Ten 27-letni wówczas zawodnik, grający wtedy w

Juventusie Turyn, zostałby graczem turnieju, ale przestrzelona jedenastka w finale zawodów pozbawiła Włochów złota na rzecz Brazylii. Siedząc przed telewizorem ronił łzy, kiedy Włosi przegrali w tym finale. Jeszcze w trakcie turnieju poprosił mamę o fryzurę na Roberto Baggio. Mama, która oglądała z synem każdy mecz, od razu się zgodziła. Widziała, że to pomaga jej synowi w pokonywaniu nieśmiałości, która została spotęgowana trudną sytuacją między nią a jej mężem. Pasja sportu pomagała mu być po prostu sobą.

Nic nie przychodzi lekko

W wieku 10 lat Lucjan, mama i siostra wyprowadzili się z miasta, w którym nasz bohater się urodził. Za cel obrali sobie wioskę osadzoną na pięknym Kociewiu. Młody chłopiec miał okazję grać w piłkę z rówieśnikami, wspinać się na drzewa w okolicznych lasach, łowić ryby, spać w stajni, w zimę budować igloo, a latem jeździć traktorem. Wszystko to, czego w mieście brakowało. Fascynacja piłką doprowadziła go na

pierwszy trening miejscowej drużyny. Grał on na bramce, albo lewej obronie. Nie miał zbyt okazałych wyników, ale jako chłopiec z nadwagą po prostu ich nie mógł mieć. Miał za to serce do walki i gry. Podczas niektórych treningów piłkarskich na bieżni wokół boiska biegał pewien dojrzały biegacz. Trener Lucjana powiedział, że to miejscowy maratończyk. Dziesięcioletni Lucjan postanowił zgłębić temat maratonu. Zapytał mamę, ale ta oprócz dystansu nie powiedziała mu za dużo. Zadzwoił do kuzyna, z którym oglądali zazwyczaj zmagania sportowe. Ten opowiedział mu o zmaganiach maratończyków już z 1896. roku podczas pierwszych Igrzysk oraz przypomniał, że trzy lata temu razem oglądali zmagania maratończyków w Barcelonie. Podekscytowany mały kibic zapomniał o tym fakcie. Po skończonej rozmowie telefonicznej z kuzynem Lucjan przewertował Encyklopedię PWN oraz Larousse'a w celu zgłębienia wiedzy o maratonie. Nazajutrz na treningu miejscowy biegacz również biegał na bieżni dookoła boiska. Mały Lucjan postanowił podejść do miejscowego maratończyka i zapytać o trening i czemu biega. "Biegam, bo Kocham to robić i nie wyobrażam sobie życia bez tego ..." –

taką usłyszał odpowiedź po-partą szerokim uśmiechem na ustach. Nasz niebieskooki, lekko otyły bohater nie był w stanie tak ciężko trenować jak miejscowy maratończyk, ale chciał kiedyś spróbować. W natłoku zajęć nie miał jednak okazji, a czas wolny spędzał na boisku grając w piłkę z kolegami.

Mniej więcej w 1998. roku jego znajomy z bloku obok, słuchający ostrej muzyki, puścił mu pewną kasetę do posłuchania. Była to kasetka *“Ride The Lightning”* Metalliki. Nasz bohater wówczas podobnie jak większość jego kolegów fascynowali się hip-hopem. Jednak inność i świeżość, jaką poczuł słuchając tej płyty, były porównywalne dla niego z pierwszym meczem, jaki oglądał kilka lat temu na amatorskim boisku w Elblągu. Nasz mały fan sportu poczuł, że musi zagłębić się w kolejną istotną dla niego rzecz – w muzykę i cały świat muzyczny. Od tej pory wielokrotnie odwiedzał swojego starszego o dekadę kolegę, by mu coś polecił. W ten sposób poznał cały dorobek Metalliki oraz innych zespołów metalowych.

Małemu Lucjanowi czas leciał na graniu w piłkę, słuchaniu muzyki i niestety również na tęsknocie za ojcem, z którym miał sporadyczny

kontakt. Na jego szczęście wszystko zastępowała mu mama, jednak nie zawsze da się pogodzić role. Mama pokazała mu, że warto być pracowitym, wytrwałym, ale też skromnym człowiekiem, bo tylko wtedy można zdobyć najwięcej. Tę ostatnią cechę nasz bohater ćwiczył grając w szachy w miejscowym klubie oraz na treningach piłki nożnej. Z owoców sportowych naszego bohatera pozostaje tytuł wicemistrza szkoły podstawowej w szachach, który zdobył w ósmej klasie. Pierwsze miejsce przypadło jego koledze, którego nasz bohater nauczył grać w szachy krótko przed turniejem. To tylko uświadomiło naszemu Lucjanowi, że sport to coś więcej niż zabawa – sport to wytrwała i ciężka praca, a nagrody są jej efektem. W sporcie lekceważyć zaś nie należy nikogo, bo jest on dla każdego.

On, oni i kibic

Kolejne lata dla Lucjana to kolejne huśtawki nastrojów. Spowodowała to przeprowadzka do Warszawy. Stolica, chociaż daje dużo możliwości, potrafi również pograć młodego człowieka.

Naszego bohatera wpędziła w stany depresyjne. Przestał go bawić sport i inne jego aktywności, włącznie z muzyką. Działo się tak do momentu, kiedy postanowił pójść pobiegać. Był rok 2002. Początkowo szło jak pod górkę. Głównym powodem, dla którego poszedł pobiegać, była chęć zrzucenia kilku kilogramów. Tego lata Polska po szesnastu latach grała na Mundialu – ta informacja ucieszyła bardzo naszego bohatera, ale lęk przed Warszawą i tęsknota za pełną rodziną trochę przytłaczała – toteż zamiast z kolegami grać w piłkę, wolał założyć słuchawki na uszy i biegać. Cecha ta nie została odebrana przychylnie przez kolegów z klasy czy podwórka.

Jak już wspominałem wcześniej, w tym czasie nasi pozostali bohaterowie (Marcin i Ignacy) trenowali pod okiem trenera Kornela, by należycie przygotować się do zawodów eliminacyjnych do wielkich imprez jak Mistrzostwa Europy czy później Igrzyska Olimpijskie. O ich przygotowaniach rozpisywał się największy dziennik sportowy, który Lucjan czytał niemal każdego dnia. Od tej pory śledził losy niegdyś wielkiego zawodnika, który tylko przez kontuzję nie zdobył medalu Igrzysk Olimpijskich, a teraz

wielkiego trenera jakim był Kornel. Bardzo mocno kibicował również jego podopiecznemu, który przygotował się do kwalifikacji do Mistrzostw Europy w biegu maratońskim – Ignacemu. Jak podawały media, to tylko formalność, by wygrał najbliższy jesienny maraton. Z dużym zapałem prasa rozpisywała się o kolejnym podopiecznym Kornela – Marcinie. Ten był faworytem w konkurencji *handbike*. Fascynacja losami tych bohaterów zepchnęła na dalszy plan gorycz porażki, jaką Lucjan odczuwał po nieudanym mundialu naszej kadry narodowej.

Dwa tygodnie przed jesiennym maratonem do stolicy zjechała się nasza dwójka kadrowiczów ze swoim trenerem. Jako że trener Kornel zaraził swoich podopiecznych gustem muzycznym, wszyscy udali się na wielkie targi muzyczne w Warszawie w poszukiwaniu nowych płyt. Na targach pojawił się również Lucjan. Kiedy zobaczył swoich nowych idoli, oniemiał. Poczuł niesamowitą radość, pierwsze, co zrobił, to poprosił o autograf. Nie miał przy sobie aparatu, czego żałował. Z trenerem Kornelem, który słynął z uwielbienia do mocnej muzyki spod szyldu Iron Maiden, rozmawiali o świeżej płycie

Brytyjczyków – *“Brave New World”* – i obaj doszli do wniosku, że Bruce Dickinson jest niezastąpiony dla tego zespołu. Lucjan zapytał go, jaka jest recepta na długie bieganie. „Ono musi cieszyć biegacza, jeżeli tego nie ma, lepiej zagrać w bierki” – usłyszał. Kiedy Lucjan miał możliwość porozmawiania z Ignacym oraz Marcinem, zapytał o to, jak mocno trenują i czy nie tęsknią za swoimi rodzinami, które są w tym czasie daleko. Ignacy odpowiedział, że mamę i brata ma w sercu, a do taty jeździ raz w tygodniu. Z kolei Marcin miał już dorastającą córkę i wyrozumiałą żonę, dla których chce być jak najlepszym ojcem, ale też wzorowym sportowcem. Lucjan im trochę zazdrościł, bo chciał, by jego tata miał tak dobry kontakt z nim. Wówczas to było zgoła inaczej. To spotkanie odbyło się cztery dni przed docelowym startem dla podopiecznych Kornela. Trener z Katowic wiedział, że jeżeli pogoda dopisze i nie stanie się nic złego, to zarówno Ignacy, jak i Marcin wygrają swoje biegi bez najmniejszego problemu. Nasi zawodnicy stacjonowali w małym hotelu na warszawskim Wawrze. Jako że większych treningów już wtedy nie odbywali, trener Kornel postanowił zaprosić na

drugi dzień ich fana – Lucjana. Mogli się rozluźnić, posłuchać muzyki, którą wszyscy lubią, a przede wszystkim porozmawiać w przyjacielskiej atmosferze.

Spotkanie z idolami, którzy w przeciwieństwie do niektórych idoli z dzieciństwa nie wywyższali się, a przede wszystkim traktowali Lucjana w sposób przyjacielski, dało mu wiele. Dobry kontakt bez żadnych kwasów i nieporozumień na linii fan – idol. Pokazało to, że są ludzie działający ponad podziałami i otwarci na innych. W ten oto sposób Lucjan wkręcił się w bieganie. Nie myślał poważnie o startach, bo dopiero co sporo schudł, ale zwykłym przemierzaniu kilometrów. Naszym kadrowiczom zaś spotkanie to pokazało, że są ważni nie tylko dla najbliższych, ale mają również fanów w całej Polsce. Marcin i Ignacy zostali w ten sposób dowartościowani. Trener Kornel wiedział, że to ich wzmocni, a wtedy o wyniki będzie mógł być spokojny.

Wielki bieg



Wczesna jesień to czas wielkiego biegu jesiennego w naszym kraju. W roku 2002 podopieczni Kornela przygotowywali się do startu w tym biegu, by uzyskać kwalifikacje na duże europejskie mistrzostwa oraz igrzyska olimpijskie. Na ten bieg trener Kornel zaprosił do sztabu nowego przyjaciela drużyny – Lucjana. Mając akredytację ten mógł bez problemów wchodzić do miejsc, gdzie zwykły kibic nie miał okazji się dostać. Lucjan poczuł się wyróżniony.

Z racji dużej rangi tego biegu zjechała się na niego biegowa elita Polska oraz mocni rywale z zagranicy. Wieczorem przed biegiem do naszych bohaterów, którzy stacjonowali w hotelu Wawerskim, zjechali się najbliżsi.

Ojciec Ignacego w rozmowie z synem powtarzał, że niezależnie od wyników jutrzejszego biegu dla niego jest najlepszy na świecie, a jest pewien, że w niebie mama jest dumna z niego. A mały braciszek pewnie mocno trzyma za niego kciuki. Wydawać by się to mogło bardzo infantylne, ale to bardzo przekonało Ignacego. Resztę wieczoru spędził z tatą wspominając stare czasy. Ojciec naszego bohatera był już emerytowanym rolnikiem prowadzącym firmę i

zatrudniającym ludzi. Nie szukał już nowej kobiety, bo wciąż kochał swoją żonę i chciał swoją miłość wciąż przekazywać swojemu synowi.

Do Warszawy zjechała się też rodzina Marcina. Nie mieli daleko, bo Marcin od urodzenia mieszkał w mieście oddalonym od stolicy około 40 km. Córka z żoną należycie poprawiły humor zawodnikowi i dodały energii. Marcin wspominał wypadek i wiedział, że przeszedł daleką drogę – wciąż w pamięci miał stan załamania nerwowego i moment, kiedy było z nim naprawdę źle. Wspominał też swojego pierwszego trenera, który podniósł go i poprzez sport nie pozwolił mu się poddać, bo sport pomaga w walce w codziennych zmaganiach z życiem. Za to był mu wdzięczny.

Trener Kornel, jako typowy samotnik, tego wieczora zamknął się w swoim pokoju i zatopił się w myślach o jutrzejszym starciu swoich podopiecznych, słuchając przy tym *“Somewhere in time”* (Iron Maiden), skąd pochodzi jego ulubiony kawałek, dzięki któremu w dzieciństwie chciał zostać biegaczem długodystansowym. Miał nadzieję, że żaden z jego podopiecznych nie

poczucie goryczy porażki poprzez kontuzję, tak jak to miało miejsce w jego przypadku.

Pełni nadziei stanęli na starcie. Ignacy wśród biegaczy maratończyków. Chciał zrealizować swoje marzenie i zostać maratończykiem. A wśród zawodników na rowerach typu *handbike* – Marcin. Wszystkich dopingowali widzowie, najbliższe rodziny, trener Kornel oraz fan Lucjan. Pogoda dopisywała, na starcie było 13 stopni Celsjusza i nie było słonecznie. Warunki do ścigania były odpowiednie.

Zawodnicy w *handbike*'ach wystartowali jako pierwsi. Oni przemierzali trasę półmaratonu. W tej konkurencji również zjechała się krajowa i międzynarodowa elita. Marcin startował z drugiej linii. Ustąpił miejsca faworytowi, ale jak sam powiedział w rozmowie z rodziną – faworyt jest po to, by go pokonać. Nie zamierzał tanio oddać skóry. Postanowił już na samym początku trzymać się lidera i w grupie trzech zawodników tak jechali przez 9 kilometrów. Wówczas Marcin poczuł, że koło w jego rowerze coś zaczyna szwankować. Usłyszał stukot. Zaniepokoiło go to, bo tyle miesięcy przygotowań, wyrzeczeń i rozłąki z rodziną, a przede wszystkich tyle potu przelanego

na treningach go to kosztowało – teraz nie może się tak to skończyć. Dopiero jak zerknął w kierunku koła i zobaczył, że dwie szprychy pękły, dotarło do niego, że to tylko szprychy i tak łatwo się nie podda. Podniósł się dawno temu po wypadku, doszedł do tego momentu w swojej karierze i umie sobie powiedzieć, by walczył do końca i to zrobi, bo jest tego godzien. Jest w stanie zawalczyć tutaj i jechać na mistrzostwa Europy i Świata, a potem i Igrzyska Olimpijskie, o czym marzył od małego dzieciaka. Nie podda się. Przypomniał sobie swoją córeczkę i jej piękny uśmiech i zaczął jeszcze mocniej pedałowac. Jak w transie. Zmęczenie w ramionach dawało się we znaki, powoli nie chciała współpracować lewa dłoń, a stukot w kole wydawał się jak linia basu kapeli metalowej. Marcin wiedział, że jak nie teraz, to nigdy. Na 17. kilometrze dogonił faworyta wyścigu. Faworyt spojrzal na Marcina przez lewe ramię z zaniepokojeniem. W Marcina oczach przez ochronne gogle zauważył błysk i ogromną chęć zwycięstwa. Marcin skupiony jechał dalej, nie przeszkadzał mu defekt trzech szprych. Jechali razem do około 19. kilometra. Wtedy wśród publiczności Marcin zobaczył dopingujących go z

transparentami zawodników z klubu szermierczego, gdzie kiedyś poszedł. Bardzo się ucieszył. Widok przyjaciół dodał mu energii. Postanowił teraz zaatakować. Jego rywal osłabł i tak na dwóch kilometrach Marcin przyspieszył i o ponad minutę wyprzedził olimpijczyka i faworyta do zwycięstwa. Marcin został najlepszym zawodnikiem poruszającym się na *handbike*'u w Polsce. Z jego oczu polaty się łzy szczęścia i endorfinowego szaleństwa. Marcin wygrał mocnym charakterem i oddaniem swojej sportowej pasji. Na mecie przywitała go żona i córka, które rzuciły się na jego szyję. Był szczęśliwy. Pokazał, że pracą i zaangażowaniem można przejść z piekła do nieba i ugrać naprawdę wiele.

Zaraz po zawodnikach na *handbike*'ach na trasę wyruszyli maratończycy. Ignacy maratończyk na lewej dłoni zapisał sobie ostatnią myśl swojego trenera Kornela – “Z głową, zrób to na spokojnie. Dasz radę” oraz zdanie, które kiedyś powiedziała do niego jego mama – “Cokolwiek robisz, ciesz się tym”.

Pierwsze pięć kilometrów biegł w grupie uformowanej przez jednego pacemakera oraz zawodników z elity. Na starcie nie zabrakło

klasowych polskich oraz afrykańskich zawodników, wszak był to bieg z dużą wartością nagród do wygrania. Ignacy nie myślał o nagrodach – chciał zrealizować to, o czym marzył od dziecka, chciał biegać długo, chciał cieszyć się zdrowiem, a później chciał zostać maratończykiem. Tego dnia miał okazję tego dokonać. A przypominając sobie historię jego zdrowia, wcale nie było to oczywiste. Pierwsze pięć kilometrów maratonu pokonali w 15:40. Trener Kornel powiedział wtedy do fana Lucjana – “idą na rekord Polski w maratonie, Ignas Maratończyk jest w stanie to zrobić ...”. Lucjan się tylko ucieszył i trzymał kciuki mocno zaciśnięte. Po Ignacym nie było widać zmęczenia. Krok był luźny, ręce i barki chodziły rytmicznie jak w zegarku. Wszystko zgodnie z rozpiską.

Dziesięć kilometrów przemierzyli w czasie 31:21 – był to międzyczas, który dawałby medal na niejednej mistrzowskiej imprezie na tym dystansie w naszym kraju. Ignacy biegł w licznej grupie wraz z innym Polakiem, który pochodził z gór. Jak donosił spiker, dwójka Polaków przy tym tempie czasami ze sobą jeszcze rozmawiała. Wówczas trener Kornel się tylko uśmiechnął.

Chociaż minęła dopiero jedna czwarta biegu wiedział, że Ignacy dopiero zaczyna i jeszcze pokaże na co go stać.

Piętnaście kilometrów przebiegli w czasie 47:01. W tym miejscu Ignacy zażył żel i pognał dalej. Drugi z Polaków z trudem utrzymał się przy jego plecach. Ignacy czuł się świeżo, co chwilę spoglądał na sentencje napisane na lewej dłoni. Myślał o mamie i bracie – to dodawało mu sił, by biec.

Połowę dystansu przemierzili w czasie 1:06:01. Jest to zdumiewające tempo – 3:08 min/km. W tym czasie drugi z Polaków miał czas gorszy o 15 sekund od naszego bohatera. Były to wówczas zdumiewające czasy, tym bardziej jak na debiutującego, zaledwie 22-letniego Ignacego. Na półmetku dopingował go jego tata. Ignacy serdecznie się uśmiechnął i podążył dalej. Wiedział, że będzie dobrze. Spojrzał na konkurentów z Afryki. Ci nie zamierzali odpuścić. Ignacy przypomniał sobie, jak biegał z domu do szkoły i z powrotem, wiedział, że bieganie jest częścią jego życia i że tym razem będzie to jego wiktoria.

Kiedy dochodził 30. kilometr, zegar zawodów wskazywał 1:34:00 – było to zdumiewające tempo. Wprost niebywałe jak na debiutanta. Jego rywal z Polski odpadł już 5 kilometrów wcześniej. W prowadzącej grupie biegł on oraz dwóch czarnoskórych zawodników z Kenii, którzy co chwila ze sobą rozmawiali, chcąc jakoby wykończyć na finiszu miejscowego biegacza. Ignacy wiedział, że dobrze się bawi i robi to z głową. Tak łatwo skóry nie odda.

Na 35. kilometrze tempo prowadzącej dwójki wynosiło 3:07 min/km. Lucjan, trener Kornel oraz Marcin, który zakończył już swój triumfalny wyścig, przecierali oczy ze zdumienia. Ignacy zostawił daleko w tyle jednego Kenijczyka i biegł ramię w ramię z kolejnym. Z oddali obserwował wszystko tata Ignacego. Już teraz był dumny z syna. Nie musiałby nawet wygrać – dla niego już był zwycięzcą.

Zbliżał się 40. kilometr. Ignacy i jego rywal z Kenii biegli wciąż przed siebie jak w piosence “Maratończyk” metalowego zespołu TSA. Wciąż biegli przed siebie i dobrze było im z tym, chociaż czasem brakowało im sił. W chwilach, kiedy pozbywali się glikogenu z mięśni, a do głowy dochodziło zwątpienie, Ignacy spoglądał na

sentencje napisane na dłoni i przypominał sobie spojrzenie swojej kochanej mamy. Gdyby mógł, cofnąłby czas, ale teraz tego zrobić nie może, może jedynie walczyć o swoje – tak jak nauczyło go życie już od momentu narodzin. A dzisiaj realizuje swoje największe marzenie, by być maratończykiem, jak tego zapragnął, kiedy zobaczył plakat maratonu pokoju z 1989 roku, który wygrał Jerzy Skarżyński z czasem 2:22:19. On wiedział, że dzisiaj może pobiec lepiej.

Kiedy moi bohaterowie stali na podium, a w tle leciał Mazurek Dąbrowskiego, naszło ich uczucie spełnienia i umiejętności realizowania marzeń. A to był zaledwie pierwszy krok na drodze ich karier sportowych.

Na ostatnich dwóch kilometrach stoczył Ignacy walkę z własnym organizmem, a także z wiatrem. Biegł resztkami sił. Zawodnik z Kenii odpuścił na 40. kilometrze z powodu kolki. Ignacy starał się wyśrubować wynik, ale na metę wpadł jako pierwszy Polak z wynikiem 2:11:59. Drugi na mecie biegacz – Kenijczyk – uzyskał wynik o 30 sekund gorszy. Ignacy dokonał niemożliwego. Wygrał wielki bieg z czasem bliskim ówczesnego rekordu Polski. Trener Kornel był szczęśliwy z

takiego obrotu sprawy – jego zawodnik zrealizował to, czego nie udało dokonać się jemu samemu. Łzy radości polały się po jego policzkach. Sam zainteresowany dobiegając do mety wskazał dwa palce do góry i krzyknął: “To dla Ciebie mammo!”. Był niebywale szczęśliwy. Kiedy spotkał się z tatą, powiedzieli sobie, że już się nie zostawią na tak długo i będą na zgrupowania jeździć razem, bo mają tylko siebie.

Olimpijskie marzenie



Po Wielkim Biegu wszyscy wrócili do hotelu. Czekala tam na nich nagroda specjalna od sponsorów i władz związku lekkoatletycznego – wysokie stypendia sportowe oraz bankiet kończący całe zgrupowanie. Obecni na nim byli mistrzowie z dawnych lat, których nasi bohaterowie podziwiali w młodości. Poczuli się dzięki temu wyróżnieni i pełni satysfakcji. Ukoronowaniem imprezy był występ *unplugged* zespołu TSA. Muzyczni idole zagrali między innymi przebój „Maratończyk”, co ucieszyło wszystkich, na czele z Kornelem, jego podopiecznymi oraz Lucjanem – najwierniejszym fanem, którego chcieli docenić, zapraszając go na wieczór.

Na koniec wszyscy zostali ze swoimi rodzinami, mogąc radować się wzajemną bliskością. W hotelu pozostali jeszcze kilka dni. Czas spędzony razem zbliżył do siebie Ignacego oraz córkę Marcina. Początkowo utrzymywali kontakt za pośrednictwem poczty elektronicznej, ale po kilku miesiącach zaczęli się regularnie spotykać. Widząc to Marcin, jego żona oraz ojciec Ignacego czuli radość; w końcu wszyscy od dawna byli jakby jedną wielką sportową rodziną –

rodziną, której głową był Kornel, wciąż oddany swojej trenerskiej pasji. Miał on wizję układającą się w całość z zegarmistrzowską precyzją. Wszystko dopięte było na ostatni guzik, a każdy dzień miał ściśle wytyczony grafik.

Mimo spełnienia zawodowego Kornel niekiedy jednak czuł pustkę i samotność. Działo się tak na przykład wtedy, gdy podopieczni wyjeżdżali z jego domu, będącego swoistym centrum dowodzenia. Uczucie samotności pogłębiało się wskutek śmierci rodziców, którzy kilka lat wcześniej zginęli w wypadku awionetki. Z bliskiej rodziny pozostał mu stryjek, który jednak wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i Polskę odwiedzał sporadycznie. Z pomocną dłonią przyszedł ojciec Ignacego. Mając drugi, pusty dom nad jeziorem, zaproponował Kornelowi, by przeniósł się tam. Początkowo Kornel bronił się, ale po kolejnej samotnej zimie postanowił sprzedać własną nieruchomość w Katowicach i zamieszkać bliżej Ignacego, „swojego diamentu” – jak nazywał chłopca. Mógł stamtąd przyglądać się codziennym treningom podopiecznego, a także przyjmować pozostałych, którzy przyjeżdżali do niego na zgrupowania. Sytuacja cieszyła

wszystkich. Tata Ignacego miał blisko własnego syna. Ignacy odczuwał spokój, mogąc trenować pod okiem Kornela oraz będąc blisko swojej nowej miłości – córki Marcina.

Na zgrupowania przyjeżdżał także Lucjan, który dał się namówić do intensywnego treningu biegowego. Jakiś czas później on również debiutował w maratonie. Co więcej, kilka lat później udało mu się nawet wygrać zawody na królewskim dystansie, dzięki czemu mógł poczuć się jak Ignacy, Marcin i Kornel.

Wszystko zatem szło w dobrym kierunku. Był to dobry prognostyk na przyszłość. W końcu do Igrzysk Olimpijskich pozostało niewiele czasu, a cel i marzenia naszych bohaterów były niezmiennie – pokazać się tam z dobrej strony i powalczyć o medal. Czy im się uda? Jak dalej potoczą się ich losy? Tego, jak we wspomnianej piosence zespołu TSA, nie wie nikt ...

Spis treści

Wstęp	4
Marcin	9
Pasja życia i sportu	10
Historia pewnego wypadku	14
Czas spełnienia - czasem nowych wyzwań	25
Igrzyska spełnieniem marzeń	26
Kornel	28
Urodzony sportowiec	29
Lekkoatletyka królową sportu	31
Zamiana korków na buty biegowe	34
Lekkoatleta wielu pasji	35
Samotność długodystansowca	40
Kontuzja zmieniła wszystko	43
Ignacy	47
Maraton na starcie	48
Przełom	54
Maratońskie marzenia	56
Ignasz maratończyk	60
Skrzyżowanie dróg	64
Lucjan	72
Pierwsze sportowe fascynacje	73
Nic nie przychodzi lekko	79
On, oni i kibic	82
Wielki bieg	87
Olimpijskie marzenie	98